

Sportowy 24

REPREZENTACJA POLSKI ZAGRA W BARAŻACH/
WIELKI SUKCES KADRY U21 JERZEGO BRZĘCZKA/
CAŁA MALTA W EUFORII/

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

PONIEDZIAŁEK, 17.11.2025

NR 92 (2499)

CENA 6,00 ZŁ (W TYM 8% VAT)

INFORMACJE Z KRAJU I ZE ŚWIATA WWW.I.PL



FOT. ADAM JANKOWSKI

s.4

**Ziobro czeka.
W Budapeszcie.**

Jeśli nie pojawi się
w kraju, zostanie
wydany europejski
nakaz aresztowania

s.12

Tomasz Ziętek: Serial „Czarna śmierć”
ma uniwersalny wymiar - współczesny widz
bez problemu zrozumie to, co działo się we
Wrocławiu w 1963 roku

s.6

**Szara eminencja partii Grzegorza
Brauna.** Od świetnego pilota i eksperta
do wroga „Eurokołchozu”. Kim jest
Włodzimierz Skalik?



FOT. 123RF

s.8

Z policyjnych statystyk wynika,
że w Polsce wręcz lawinowo rośnie liczba dzieci,
które mogły być ofiarami przemocy domowej



NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

W piątek magazyn Puls

● **Samotność Janosika.** O losach Marka Perepeczki rozmawiamy z jego biografem Markiem Szymańskim

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Marek Mazurkiewicz
publicysta



STRATEGICZNY KLINCZ CZY IMPAS?

Klincz to ważny element sportów walki, znany także w boksie. To sytuacja, w której zawodnicy chwytają się nawzajem w bliskim zwarciu. Zawodnik w defensywie zastosuje go, by przerwać serię ciosów przeciwnika i odpocząć lub odzyskać kontrolę nad tempem walki. Z kolei zawodnikowi z przewagą klincz może pomóc zmęczyć przeciwnika, zredukować dystans i przygotować do kontrataku - do uderzenia z półdystansu albo odepchnięcia rywala. Jeśli zaś rywale są na równym poziomie i ich starcie zapowiada się jako wielorundowa walka, to klincz może mieć znaczenie strategiczne - zmienia rytm pojedynku, by w jego późniejszej fazie przyczynić się do uzyskania przewagi. Nie trwa on jednak długo, bo jeśli nie padają ciosy, sędzia interweniuje, rozdziela zwarcie i nakazuje wznowienie walki, krzycząc: „Boks!”

W listopadzie wymiana ciosów pomiędzy dwoma ośrodkami władzy wykonawczej weszła w kolejną fazę. Prezydent i jego Kancelaria po raz kolejny pokazują swoimi decyzjami, że nie zamierzają współpracować z rządem. Wstępem do kolejnej serii ciosów zadanych ze strony Pałacu Prezydenckiego, które mają zablokować decyzje i utrudnić działania Rady Ministrów, była odmowa podpisania nominacji oficerskich. W komentarzach podkreślano, że był to pierwszy taki przypadek w historii III RP, kiedy funkcjonariuszom Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego urzędująca głowa państwa odmówiła awansu. Prezydent, uzasadniając decyzję w buńczucznym stylu, stwierdził, że o awansach będzie gotów rozmawiać dopiero po przeprosinach szefów służb, którzy nie stawili się na jego wezwanie - choć formalnie podlegają bezpośrednio premierowi. Później zawetował cztery kolejne ustawy, w tym o utworzeniu Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry, a 12 listopada wstrzymał nominacje sędziowskie, dając do zrozumienia, że w procesie reformowania wymiaru sprawiedliwości jest gotów na polityczny i prawny klincz z rządem. Pytanie tylko, czy ten klincz okaże się chwilowy, czy będzie zapowiedzią długotrwałego impasu między dwiema najważniejszymi instytucjami w państwie.

”

Sąd skazał na karę więzienia działaczy PiS z Małopolski za wyłudzenie nieruchomości od niepełnosprawnego pensjonariusza DP S. Wygląda jak system. Mdłości można dostać

premier Donald Tusk na platformie X

DZIECI SĄ PRZYGODĄ, ALE I OBOWIĄZKIEM

Dziecięce wózki, zwłaszcza dla maluchów umiejących już siedzieć, były konstruowane tak, że dziecko patrzyło na matkę, czy inną dorosłą osobę, która wózek prowadziła. W latach 80. XX wieku to się zmieniło. Wedle nowej koncepcji w nowych wózkach przestawiono siedzisko, żeby malucha odwrócić ku światu zewnętrznemu. Uwaga dziecka już nie kieruje się na twarz matki, tylko w przód. Komunikacja pozawerbalna z dorosłym stała się niemożliwa.

W słynnym eseju „Une folle solitude” [Szalona samotność] Olivier Rey używa obrazka dziecka umieszczonego tyłem do matki jako metafory naszej cywilizacji odwracającej się plecami do tego, co było wcześniej, w przekonaniu, że wyzwolenie od tradycyjnych więzi uwolni przyszłe pokolenia od ciężaru przeszłości.

Olivier Rey jest filozofem, zabiera głos w kluczowych dla Zachodu sprawach, a jego eseje wzniesają burzliwe dys-

Liliana Sonik
publicystka



kusje. Miesiąc temu opublikował krótki esej zatytułowany „Niepłodność: jej racje, jej irracjonalność”.

I znów inspiracją tekstu stał się obrazek z życia wzięty. Rey opowiada scenę, której był świadkiem w Paryżu. Chłopczyk w wózku wrzeszczał z całych sił, podczas gdy bezradna matka, klęcząc obok na chodniku, błagalnie powtarzała pytanie: „czego chciałbyś? ‘Powiedz o co ci chodzi?’ - Ale dlaczego - zastanawia się filozof - „chłopiec miałby sam z siebie zrezygnować z zachowania, które sprowadza rodziców na kolana? Ci, którzy opowiadają się za takim modelem wychowania (a raczej antywychowania), nie dopuszczają myśli, że dzieci mogą potrzebować reguły i autorytetu. Brak zasad wywołuje u dzieci lęk i zachęca do ciągłego presu-

wania granic. Zamiast dzieci wyzwolonych, tworzymy dzieci niezdolne.

Tymczasem wychowanie dziecka, jeśli słowo „wychowanie” traktować odpowiednio, jest gigantycznym przedsięwzięciem. Do niedawna ludzie żyli w społecznościach, które zapewniały naturalne warunki sprzyjające przyjęciu dzieci. Nie tylko rodzice, ale dziadkowie, ciotki, kuzyni, starsze rodzeństwo i sąsiedzi byli w to zaangażowani. Jednak współczesny styl życia zniszczył lokalne zakorzenienie rodzin i sąsiedztwo, na którym można polegać.

Efektom mobilności jest samotność rodziców. Nie mają wsparcia praktycznego ani organizacyjnego, ani psychologicznego osób bliskich. Kto oskarża młodych o egoizm,

niech spróbuje zostać przez miesiąc z małym dzieckiem 24 godziny na dobę i wtedy porozmawiamy. To jest trudne do udźwignięcia, nawet jeśli mamy żłobek czy przedszkole.

Bezradni rodzice pomocy szukają w radach specjalistów. A internet sący w głowy przypadkowy galimatias, często od czapy. Rezultaty są dramatyczne. Jedna trzecia dzieci nie umie żyć. Są szalenie trudne, bo są kompletnie niewychowane: nie potrafią dostosować się ani do sytuacji, ani do grupy.

Posiadanie dzieci jest ryzykowną, lecz fascynującą przygodą. Nikt tego tak dzisiaj nie przedstawia. Dostajemy tylko lament demografów i wizje gospodarczej zapaści. To niktogo do zdecydowania się na dziecko nie przekona.

W efekcie współczynnik dzietności jest w Polsce katastrofalnie niski. W zeszłym roku było to 1,1, podczas gdy dopiero 2,1 daje prostą zastępowalność pokoleń.

Zwijamy się w błyskawicznym tempie.

O FACETACH LEPIEJ NIE MÓWIĆ?

Napisła do mnie pani Elżbieta, bo uważa, że nie powinniśmy publikować artykułów o akcji Mowember. Przecież takie teksty (o raku prostaty czy jąder) czytają też w internecie dzieci. Jeśli już takie rzeczy muszą być, powinny być zamknięte tylko dla osób dorosłych. Każdy może mieć swoje zdanie. Ja mam odmienne.

Mało tego, uważam, że o zdrowiu fizycznym jak i psychicznym wciąż mówi się za mało. I wciąż pokutuje przekonanie, że facet powinien być silny, nie płakać, nie wzruszać się i chyba też nie dbać o swoje zdrowie. Bo skoro nawet w listopadzie, kiedy na całym świecie odbywa się akcja Mowember,

Leszek Kalinowski
publicysta



mężczyźni zapuszczają wąsy, by zostali zauważeni i byśmy właśnie o nich zaczęli rozmawiać, mamy o nich nie pisać? Czy jest w życiu każdego z nas coś ważniejszego niż zdrowie? Dlaczego więc mamy milczeć? Dlaczego mamy rozmawiać o polityce, a o zdrowiu już nie?

Moim zdaniem przez lata pokutowało przekonanie, że o pewnych sprawach się nie rozmawia. Dziś są inne czasy, inna świadomość. Choć zdecydowana więk-

szość panów o tych sprawach nadal rozmawiać nie potrafi. Chyba że żartem. Inaczej jest z paniami, mają swoje stowarzyszenia, organizacje, strony w internecie, gdzie dyskutują, dzielą się swoimi doświadczeniami. Mówią wiele o profilaktyce, chorobach, leczeniu i wzajemnym wsparciu, nie tylko podczas leczenia. Po operacji przy ich łóżkach zjawiają się wolontariuszki. W przypadku mężczyzn nikogo przy łóżku nie ma. Nie ma też różowych marszy w mia-

stach w całym kraju, akcji plenerowych itd. Nie ma stron internetowych. Facet pozostaje sam ze sobą. Dobrze, gdy ma rodzinę. I potrafi mówić, bo nikt go nie nauczył przez lata, że też ma prawo do chwili słabości, do rozmowy o swojej chorobie, do wykrzyknięcia, że jest mu źle.

A potem się dziwimy, że w Polsce mężczyźni sześć razy częściej niż kobiety odbierają sobie życie, bo sobie nie radzą. Ich depresja jest ukryta. Facet ma być twardy, silny, nie gadać za dużo i ze wszystkim sobie sam radzić. I pracować pięć lat dłużej od kobiet, zanim przejdzie na emeryturę. Choć to kobiety żyją dłużej. W Polsce średnio o siedem lat dłużej od mężczyzn.

CZARZASTY ZOSTANIE MARSZAŁKIEM

Posłowie KO, Lewicy, Polski 2050 i PSL potwierdzają poparcie dla kandydatury Włodzimierza Czarzastego. Sprzeciw zapowiedzieli politycy PiS, Konfederacji i Razem

Karolina Wrońska

Szymon Hołownia - zgodnie z zapisami umowy koalicyjnej - podpisał w ub. czwartek rezygnację z funkcji marszałka Sejmu. Wybór nowego ma odbyć się 18 listopada, na najbliższym posiedzeniu izby. Umowa koalicyjna zakłada, że ma nim zostać współprzewodniczący Nowej Lewicy, dotychczasowy wicemarszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty.

Koalicja zgodna

Wiceszef klubu parlamentarnego Lewicy Tomasz Trela powiedział, że nie ma wiedzy, by ktokolwiek z koalicji rządzącej sprzeciwiał się tej kandydaturze. - Jeśli jednak ktoś ma w tej sprawie odmienne, indywidualne zdanie, to przyjmuję to do wiadomości - dodał.

Sekretarz klubu Lewicy Tadeusz Tomaszewski powiedział, że liczy też na pojedyncze głosy spoza koalicji rządzącej. - I wiem

z rozmowy z marszałkiem, że kilka takich głosów będzie - dodał.

Rzeczniczka klubu KO Dorota Łoboda podkreśliła, że wybór Czarzastego został uzgodniony w umowie koalicyjnej, więc głosowanie posłów KO „za” nim jest kwestią oczywistą. Pytana, czy w klubie będzie zarządzana dyscyplina w głosowaniu, odparła, że nie ma takiej potrzeby, bo nikt spośród posłów KO nie ma żadnych wątpliwości ws. poparcia dla współprzewodniczącego Nowej Lewicy. Dodała, że posłowie mają natomiast zapowiedziane, że muszą się stawić na głosowanie.

Dyscypliny w tej sprawie nie przewiduje też przewodniczący klubu Polska 2050 Paweł Śliz. Jak podkreślił, „umów należy dotrzymywać”. - Czy głosując, będę się cieszył? Nie do końca, bo ja uważam, że marszałek Hołownia wprowadził zupełnie nową jakość pracy tego Sejmu. Nie tylko pod względem otwarcia na obywatela, nie tylko pod względem liczby ludzi, któ-



Zmianę marszałka Sejmu w połowie kadencji zapisano w umowie koalicyjnej KO, Polski 2050 i Lewicy

rzy odwiedzają Sejm, ale np. konsultacji społecznych, relacji międzynarodowych, które pan marszałek przez całą swoją dwuletnią kadencję nawiązał - ocenił Śliz.

W podobnym tonie wypowiedzieli się posłowie PSL. Jarosław Rzepa powiedział, że PSL będzie „bezwzględnie głosowało za marszałkiem Czarzastym”, ponieważ szanuje

umowy. - A ta umowa jest gwarantem naszej koalicji i tu nie mamy żadnych wątpliwości co do tego, że tych umów trzeba dotrzymać - powiedział Rzepa.

Natomiast Marek Sawicki (PSL) ocenił, że w tej chwili w Lewicy są na to stanowisko ciekawsze osoby wśród młodych polityków. Ale - jak jednocześnie dodał - „trzeba sobie jasno powiedzieć, że to jest wybór Lewicy i my tutaj na niego wielkiego wpływu nie mamy”. - Trudno też nie dotrzymać zobowiązań koalicyjnych, na jakie żeśmy się umówili - podkreślił Sawicki.

Opozycja przeciw

Mniej entuzjazmu wobec kandydatury Czarzastego wykazali politycy ugrupowań opozycyjnych. Poseł PiS Janusz Kowalski przekazał, że jego klub „nie wyobraża sobie, żeby 36 lat po odzyskaniu niepodległości wybierać komunistę na marszałka Sejmu”. Dopytany, na kogo w takim razie zgłasza PiS, powiedział, że klub parla-

mentarny podejmie w tej sprawie decyzję. - W swoim imieniu chciałbym, żeby marszałkiem Sejmu została pani Elżbieta Witek, żelazna dama polskiej polityki - dodał.

Poseł Konfederacji Przemysław Wipler powiedział, że Konfederacja będzie głosowała przeciwko kandydaturze polityka Lewicy. - Myślę, że w takich sprawach w naszym klubie nie jest potrzebna dyscyplina. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał zagłosować inaczej - dodał.

W jego opinii głosowanie nad wyborem Czarzastego na marszałka Sejmu jest głosowaniem nad tym, czy rząd ma stabilną większość - stwierdził.

Przeciwko współprzewodniczącemu Nowej Lewicy zgłoszą też posłowie koła Razem. - Niech oni sobie wymieniają marszałka, jeśli uważają, że to jest stosowne - oceniła szefowa koła Razem Marcelina Zawisza. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY PMB 2025

0011410834

Kongres Polska Moc Biznesu: największe wydarzenie społeczno-gospodarcze w Polsce.

26 listopada na PGE Narodowym odbędzie się Kongres Polska Moc Biznesu - największe wydarzenie o profilu społeczno-gospodarczym w Polsce. Udział w wydarzeniu zapowiedzieli członkowie rządu, przedstawiciele rządów największych międzynarodowych i polskich firm oraz NGO'ów.



Rekordowa edycja z rozbudowanym programem

W tegorocznej edycji, po raz pierwszy obrady Kongresu odbędą się aż na siedmiu scenach tematycznych, obejmujących pełne spektrum wyzwań i szans, przed którymi stoi dziś gospodarka.

W debacie dotyczącej transformacji rynku pracy i obecności na nim pokolenia X udział zapowiedzieli Paweł Jaroszek, członek zarządu ZUS, Agnieszka Szczygielska, dyrektor Centralnego Instytutu Ochrony Pracy, Państwowego Instytutu Badawczego, Paweł Dziekoński, wiceprezes Fakro, Antonio Carvelli, prezes zarządu Gi Group. - Rozwój sztucznej inteligencji i postępująca robotyzacja, a jednocześnie kryzys demograficzny, zmuszają nas do ponownego przemyślenia funkcjonowania

rynku pracy. Jest to wyzwanie dla administracji tworzącej regulacje prawne, przedsiębiorców, którzy w tych warunkach muszą odpowiedzialnie dbać o efektywność biznesową, a także pracowników, którzy muszą być otwarci na zdobywanie nowych kompetencji. Dlatego tak ważne w tym roku będą dyskusje dotyczące zmian na rynku pracy - wyjaśnia Artur Beck.

W programie poruszone zostaną m.in. tematy obronności i bezpieczeństwa Europy, cyberzagrożeń, sztucznej inteligencji, deregulacji prawa dla przedsiębiorców, a także inwestycji zagranicznych, transformacji energetycznej, dobrostanu psychicznego w pracy i odpowiedzialnego przywództwa. Uczestnicy będą mogli wybierać spośród debat eksperckich, rozmów



1:1, sesji inspiracyjnych i wykładów praktyków biznesu.

Przedsiębiorcy o regulacjach

Uwagę zwraca duże zainteresowanie polskich przedsiębiorców. 26 listopada na PGE Narodowym można spodziewać się m.in. Henryka Orfingera, współtwórcy firmy Dr Irena Eris Cosmetics, Wojciecha Wolnego, prezesa zarządu EUVIC, Krzysztofa Rdesta, prezesa EMKA, Marcina Czyczerskiego, współzałożyciela firmy GCG Partners, Mariana Owerko, prezesa FoodWell, czy Ewy Chodakowskiej, współzałożycielki BeBio. W kongresie udział zapowiedzieli również przedstawiciele organizacji zrzeszającej przedsiębiorców: Joanna Makowiecka-Gatza, prezes zarządu Pracodawcy RP oraz dr Jacek Goliszewski, prezes Business Centre Club.

- Tegoroczny Kongres cieszy się rekordowym zainteresowaniem uczestników, szczególnie wśród polskich przedsiębiorców i organizacji pozarządowych. Na siedmiu scenach mamy zaplanowane ponad 50 wydarzeń, debat, wystąpień i prezentacji. Nadal można zarejestrować się na nasze wydarzenie przez stronę internetową Kongresu - przypomina Artur Beck. - Dyskusje będą koncentrować się wokół obronności, stabilności otoczenia prawnego, cen energii elektrycznej oraz rynku pracy i ochrony zdrowia - dodaje organizator wydarzenia.

Podczas tegorocznej odsłony kongresu nowością będą też trzy debaty współorganizowane z Business & Science Poland, która wspiera polski biznes w Brukseli. - To niezwykle istotne, by polscy przedsię-

biornicy byli obecni przy tworzeniu unijnego prawa, a nie tylko przy jego implementacji. Bądźmy aktywni już na etapie prac w komisjach i podkomisjach, bo tam często decyduje się kształt przyszłych regulacji, które często mają decydujący wpływ na możliwości rozwojowe przedsiębiorstw - tłumaczy Beck.

Organizacje pozarządowe w centrum uwagi

Co roku w Kongresie udział bierze kilkadziesiąt organizacji pozarządowych z całej Polski, a wydarzenie zakończy uroczysta gala wręczenia nagród w konkursie „DNA - bo pomagamy mamy w genach”.

Inicjatywa ta ma na celu wyróżnienie niezwykłych przedsięwzięć społecznych realizowanych przez firmy i organizacje pozarządowe.

Ubiegłoroczny konkurs miał na celu docenienie organizacji społecznych i przedsiębiorstw najbardziej zaangażowanych w pomoc dla mieszkańców terenów dotkniętych jesienną powodzią na południu kraju. Jego laureatami zostały Fundusz Lokalny Masywu Śnieżnika oraz firma Colian. W tym roku kapituła doceni firmy i organizacje zaangażowane we wsparcie opieki zdrowotnej.

ZIOBRO CZEKA W BUDAPESZCIE

Zbigniew Ziobro trzyma bezpieczny dystans, wciąż przebywa w Budapeszcie. Jeśli nie pojawi się w kraju, prawdopodobnie zostanie wydany europejski nakaz aresztowania

Dorota Kowalska

Gorąco wokół byłego ministra sprawiedliwości, Zbigniewa Ziobry. Polityk wciąż przebywa za granicą i wygląda na to, że, przynajmniej na razie, nie zamierza wracać do kraju.

Ale przypomnijmy fakty: 6 listopada wnioski prokuratury o zdjęcie Ziobrze immunitetu, pozwoleń na jego zatrzymanie i aresztowanie opiniowała sejmowa Komisja Regulaminowa i Spraw Poselskich, dzień później oba wnioski przegłosował Sejm. Ziobro przebywał w tym czasie na Węgrzech, gdzie wcześniej o azyl polityczny poprosił jego bliski współpracownik i podwładny - były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski, bezpośrednio odpowiedzialny za nadzór nad Funduszem Sprawiedliwości.

Wykonanie postanowienia o zatrzymaniu Ziobry powierzono funkcjonariuszom Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Wiadomo, że prokuratura dysponuje dwoma zagranicznymi adresami do korespondencji z byłym ministrem sprawiedliwości. Pierwszy znajduje się w Brukseli, gdzie od ponad roku Ziobro mieszka z rodziną, adresu na Węgrzech jego adwokat, mec. Bartosza Lewandowskiego, nie wskazał, ale zapewnił, że prokuratura go zna.

I właśnie w Brukseli albo w Budapeszcie, chce być przesłuchiwany Ziobro. Zdaniem mec. Bartosza Lewandowskiego to żadne odstępstwo od normy.

- Takie rzeczy w praktyce się zdarzają i prokuratura te czynności przeprowadza. Natomiast, tutaj decyzja będzie zawsze po stronie prokuratury - mówi adwokat.

Sam Ziobro tłumaczył, że nie miał zamiaru uciekać, chciał wrócić do Polski, ale miał otrzymać informację, że tuż po przyjeździe z Budapesztu zostałby zatrzymany, wciąż też podnosi, że jest ofiarą „politycznej zemsty” obecnego premiera Donalda Tuska i nie może liczyć w Polsce na uczciwy proces. To zresztą narracja wszystkich polityków Prawa i Sprawiedliwości.

- Wniosek o areszt Ziobry to absurd i element kampanii politycznej - mówi w Poranku Radia Wnet Dariusz Matecki, bliski współpracownik Ziobry, dodając, że w Polsce „nie ma dziś gwarancji bezpieczeństwa dla opozycji”. - Zarzuty wobec ministra Ziobry są kłamstwem i elementem kampanii mającej zniszczyć opozycję. Gdyby trafił do polskiego aresztu, gdzie siedzą ludzie, których sam wsadził za kratki, groziłoby mu realne niebezpieczeństwo - dodał Matecki.

Także Jarosława Kaczyńskiego trzyma stronę Ziobry, py-

tany, czy ten powinien wrócić do kraju, odpowiedział: „Żeby go w istocie zamordowano?”

- Jeżeli ktoś bardzo ciężko chory, kto wymaga stałej, bardzo poważnej opieki lekarskiej jest umieszczany w więzieniu, to jest równoznaczne z wyrokiem śmierci - tłumaczy nawiązując do choroby nowotworowej, którą przeszedł były szef resortu sprawiedliwości.

Ten, póki co, nie poprosił o azyl na Węgrzech. Tymczasem prokuratura wystąpiła już do sądu z wnioskiem o trzymiesięczny areszt dla Ziobry.

- Jest to niezbędne dla zapewnienia prawidłowego dalszego toku tego postępowania - tłumaczył w czwartek na konferencji prasowej rzecznik Prokuratury Krajowej prok. Przemysław Nowak.

Poinformował też, że, zgodnie z regulaminem urzędowania sądów powszechnych, jeśli podejrzany ukrywa się lub przebywa za granicą, a przesłuchanie jest niemożliwe, posiedzenie aresztowe przeprowadza się nie później niż w terminie 7 dni od dnia wpływu wniosku.

Prok. Przemysław Nowak wyjaśnił, że konieczność zastosowania aresztu wobec Ziobry wynika „z zachodzącej w sprawie uzasadnionej obawy ucieczki lub ukrycia się, obawy bezprawnego utrudnienia postępowania, a nadto z realnej



Nic nie wskazuje na to, że prokuratorzy będą chcieli przesłuchać Zbigniewa Ziobro za granicą, na Węgrzech

FOT. ADAM JANKOWSKI

groźby wymierzenia surowej kary”.

Prokurator przypomniał, że w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości prokurator uzyskał materiał dowodowy wskazujący na uzasadnione podejrzenie popełnienia łącznie 26 przestępstw. Zarzuty, które prokurator chce przedstawić, dotyczą także złożenia i kierowania „zorganizowaną grupą przestępczą przez okres pięciu lat, jak również ustawiania i ręcznego sterowania konkursami na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości i przywłaszczania pieniędzy uzyskiwanych w tej drodze”.

Śledczy twierdzą, że mają mocne dowody: oficjalne dokumenty (zarówno te publiczne znane, jak i dotąd nieznanne), pendrive'y używane przez urzędników resortu Ziobry, grafiki spotkań ministra Ziobry, nagrania rozmów między byłymi urzędnikami, korespondencje elektroniczne, zeznania świadków i wyjaśnienia podejrzanych. Swoje ustalenia poczyniła też Najwyższa Izba Kontroli.

I nic nie wskazuje na to, że prokuratorzy będą chcieli przesłuchać Zbigniewa Ziobro za granicą. - To nie osoba podejrzewana decyduje o tym, gdzie może być przesłuchiwana - podkreślił w czwartek minister sprawiedliwości i pro-

kurator generalny Waldemar Żurek.

Dodał też, że do tej pory nie odnotowano przypadku, by osoba, wobec której prokuratura sformułowała poważne zarzuty i wniosek o tymczasowy areszt, była przesłuchiwana za granicą.

- To jest sytuacja, która nie miała miejsca i myślę, że nie będzie miała miejsca - podkreślił.

Minister zapowiedział też, że decyzję w tej sprawie podejmą w najbliższym czasie niezależni prokuratorzy. Przypomniał o możliwości zastosowania wobec Ziobry europejskiego nakazu aresztowania.

- To działa w praktyce, więc jeżeli będzie tak, że minister Ziobro nie stawi się na wezwanie prokuratury i będzie stawił on warunki prokuraturze, to ten nakaz aresztowania przekształci się w europejski nakaz aresztowania i będziemy ministrowi poszukiwali w Europie - mówił. - Proszę sobie wyobrazić, że jakby dostał poważne zarzuty i przedstawiono mu je za granicą, to za chwilę zniknąłby z Europy i byśmy go oszukali na plażach Dubaju, tak jak widzieliśmy to w różnych przypadkach - dodał Żurek.

Co ciekawe, większość Polaków dość jednoznacznie ocenia zachowania i same zarzuty stawiane Zbigniewowi Ziobrze.

I tak uczestników sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej” spytano czy - ich zdaniem - Ziobro powinien trafić do aresztu w związku z zarzutami stawianymi mu przez prokuraturę w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, czy też nie. „Tak” - odpowiedziało 55,3 proc. badanych, „nie” - 18,2 proc. respondentów. Zdania w tej sprawie nie ma 19,1 proc. ankietowanych, a 7,4 proc. uczestników sondażu w ogóle o niej nie słyszało. W kolejnym badaniu tej samej sondażowi dla rp.pl spytano Polaków, jak oceniają zachowanie Ziobry, który pozostał na Węgrzech, gdy ważyły się losy jego immunitetu. Pozytywnie zachowanie byłego ministra sprawiedliwości ocenia 17,4 proc. badanych. Negatywną ocenę wystawia zachowaniu Ziobry 60,9 proc. respondentów. 15,7 proc. badanych nie ma zdania w tej sprawie.

Co dalej ze Zbigniewem Ziobro? Cóż, wydaje się, że może zostać sąsiadem Marcina Romanowskiego. Problem w tym, że ten drugi nie ma żony i dzieci. W każdym razie sytuacja byłego ministra sprawiedliwości wydaje się dużo bardziej skomplikowana, także z racji zajmowanego jeszcze trzy lata temu stanowiska i związanej z tym odpowiedzialności. PAP

AUTOREKLAMA

0011430402

Jesień

to dobry czas na odkrywanie

- Podróż po miastach
- Smaki kulinarne regionu
- Weekend w SPA i termach
- Aktywny wypoczynek
- Jeszcze jedna historia

stronapodrozy.pl/przewodnik

Grzegorz Kuczyński

Różne scenariusze ataku USA na Wenezuelę

Ogłoszenie przez Pentagon operacji pod kryptonimem Południowa Włócznia oznacza, że działania militarne Stanów Zjednoczonych wobec reżimu Maduro są coraz bliżej. Donald Trump oświadczył, że podjął już decyzję w sprawie „możliwych operacji wojskowych w Wenezueli, ale na razie nie może jej ujawnić”

Administracja Trumpa twierdzi, że jej kampania wojskowa jest skierowana przede wszystkim przeciwko wenezuelskim handlarzom narkotyków – chociaż w rzeczywistości Wenezuela nie odgrywa znaczącej roli w handlu narkotykami w Ameryce Łacińskiej.

Jak piszą zachodnie media, Nicolas Maduro jest przerażony i niejednokrotnie próbował rozpocząć pośrednie negocjacje z Waszyngtonem – niemal obiecując, w odpowiedzi na odmowę USA przeprowadzenia operacji wojskowej przeciwko niemu, zerwanie wszystkich sojuszy i powiązań z Moskwą, Teheranem i Pekinem oraz zapewnienie amerykańskiemu koncernom naftowym specjalne przywileje. Jednak Biały Dom nie zaszczycił go odpowiedzią.

Jednocześnie władze Wenezueli zwróciły się z pilną prośbą o pomoc wojskową do Rosji, Chin i Iranu. Maduro rzekomo osobiście wysłał do prezydenta Rosji Władimira Putina list z prośbą o wzmocnienie obrony przeciwlotniczej Wenezueli.

Dziennik „Washington Post” twierdzi, że uzyskał na wyłączność od sekretarza obrony Stanów Zjednoczonych Pete’a Hegsetha i szefa sztabu generalnego Dana Caine’a informację, że „ist-

nieją rozmaite opcje dotyczące działań wojskowych w Wenezueli”. „New York Times” twierdzi zaś, że Trump dokona wyboru jednego z trzech scenariuszy.

Scenariusz A. Naloty na bazy wojskowe

Zaatakować z powietrza szereg obiektów wojskowych związanych z międzynarodowym handlem narkotykami w Wenezueli, aby pozbawić Maduro poparcia szefów własnej armii i służb specjalnych czerpiących zyski z handlu narkotykami.

Krytycy takiego wariantu ostrzegają jednak, że może on przynieść odwrotny skutek – wzmocnić jedność wenezuelskiej armii i służb specjalnych wokół przywódcy Wenezueli, który w ostatnich latach nieustannie straszył ich zagrożeniem ze strony USA.

Scenariusz B. Eliminacja Maduro

Drugi scenariusz zakłada, że Stany Zjednoczone mogą podjąć próbę fizycznego usunięcia lub schwytania Nicolasa Maduro w ramach ograniczonej operacji zbrojnej przeprowadzonej przez siły specjalne. Taką akcją mogłyby przeprowadzić jednostki Delta lub Navy SEALs. W takim przypadku administracja Trumpa najprawdopodobniej będzie potrzebowała uzasadnienia prawnego, aby obejść się bez zgody Kongresu USA na użycie siły militarnej.

Doradcy Trumpa zwrócili się już do Ministerstwa Sprawiedliwości o dodatkowe wskazówki: jak obejść długoterminie amerykańskie zakazy prawne dotyczące fizycznej likwidacji zagranicznych przy-



Donald Trump od kilku tygodni grozi władzom Wenezueli

wódców, jeśli uda się udowodnić, że Maduro i jego otoczenie są przede wszystkim przywódcami narkokartelu De Los Soles (Kartel Słońce).

Scenariusz C. Inwazja na Wenezuelę

Istnieje również trzecia, najbardziej skomplikowana i niebezpieczna opcja – zakładająca faktyczne przystąpienie Stanów Zjednoczonych do pełnej wojny z reżimem w Caracas. To by oznaczało zaangażowanie dużych sił armii, sił powietrznych, floty i piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych.

Celem byłoby zajęcie budynków rządowych w Caracas, lotnisk, ważnych obiektów infrastruktury i przynajmniej niektórych kluczowych źródeł ropy naftowej w Wenezueli po to, by wymusić zmianę reżimu.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011402101

ORLEN uruchamia huby szybkiego ładowania aut elektrycznych

ORLEN otworzył 5 listopada pierwszą stację szybkiego ładowania samochodów elektrycznych – ORLEN Charge – przy trasie S7 w Miejscu Obsługi Podróżnych Olsztynek Południe. Nowoczesny hub umożliwia jednoczesne ładowanie ośmiu pojazdów i skraca czas uzupełnienia energii nawet do 20 minut. Do końca roku ORLEN uruchomi jeszcze kilkanaście podobnych hubów.

Nowy standard w elektromobilności

Nowa stacja ORLEN Charge to pierwsza z planowanej sieci nowoczesnych hubów ładowania, która ma całkowicie zmienić komfort podróżowania samochodem elektrycznym po Polsce. Instalacja wyposażona jest w dynamiczny system podziału mocy, który automatycznie dostosowuje energię do liczby i typu ładowanych pojazdów.

Zainstalowane urządzenia oferują moc od 200 do 400 kW, co pozwala skrócić czas ładowania nawet trzykrotnie – do 15–20 minut. To znaczący krok w kierunku likwidacji jednej z głównych barier rozwoju elektromobilności w Polsce – długiego czasu ładowania.



– Różnica między tankowaniem auta spalinowego a ładowaniem elektryka zaczyna się zacierać. W obu przypadkach to kwestia kilkunastu minut – podkreśla Piotr Suchodolski, Dyrektor Wykonawczy ds. Marketingu Komercyjnego ORLEN.

Nowoczesny hub przy trasie S7 jest również przystosowany do obsługi najnowszej generacji samochodów elektrycznych, w tym modeli o dużej pojemności akumu-

latorów. Dzięki zastosowaniu systemu inteligentnego zarządzania mocą, kierowcy nie muszą martwić się o wydłużony czas ładowania nawet przy pełnym obciążeniu stacji.

Komfort i technologia dla kierowców

Stacja w Olsztyнку działa całodobowo i oferuje użytkownikom intuicyjne ekrany dotykowe, płatności zbliżeniowe oraz możliwość monitorowania procesu ładowa-

nia poprzez aplikację ORLEN Charge. W czasie oczekiwania kierowcy mogą skorzystać z pełnej oferty ORLEN Stop Cafe, zrobić zakupy czy po prostu odpocząć.

– Chcemy, by ładowanie auta było tak wygodne jak tradycyjne tankowanie. Nasze stacje oferują pełen zakres usług, co odróżnia nas od konkurencji – zaznacza Krzysztof Kaczyński, Dyrektor Wykonawczy ds. Elektromobilności ORLEN.

Firma zapowiada, że wszystkie nowe punkty ładowania będą projektowane z myślą o komforcie kierowców i zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju. Na każdej stacji znajdują się elementy małej architektury, miejsca odpoczynku oraz udogodnienia dla rodzin i osób z niepełnosprawnościami. To ma sprawić, że postój na ładowanie stanie się naturalnym elementem podróży, a nie uciążliwym obowiązkiem.

Rozbudowa sieci w całym kraju

Do końca roku ORLEN planuje uruchomienie kolejnych hubów szybkiego ładowania m.in. w Szczecinie, Gorzowie Wielkopolskim, Zgorzelcu i Nowym Dworze Mazowieckim. W najbliższych latach powstawać będzie nawet kilkadziesiąt nowych stacji rocznie – w tym m.in. na MOP-ach Barniślaw, Gruczno, Morzęcino, Brzegi i Szumowo.

Jak podkreśla rajdowy mistrz Europy Miko Marczyk, rozwój takiej infrastruktury znacząco poprawi komfort podróży: – W kilkanaście minut można naładować samochód na kolejne 300–400

kilometrów. Dzięki takim stacjom jazda elektrykiem na dłuższych dystansach stanie się znacznie łatwiejsza i przyjemniejsza.

Budowa stacji realizowana jest w ramach projektu „Perun E-mobility”, współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej i Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska.

Obecnie sieć ORLEN Charge obejmuje już ponad 1200 punktów ładowania w Polsce. Koncern planuje dalszy rozwój także na rynkach europejskich, gdzie prowadzi działalność. Celem jest osiągnięcie dominującej pozycji w segmencie ogólnodostępnego ładowania aut elektrycznych do 2035 roku.

Otwarcie pierwszego hubu ORLEN Charge w Olsztyнку to symboliczny początek nowej ery elektromobilności w Polsce. Dzięki inwestycjom w szybkie ładowarki i rozbudowę infrastruktury przy głównych trasach kierowcy zyskają realną alternatywę dla samochodów spalinowych. Krótszy czas ładowania, wysoki komfort i dostępność usług sprawiają, że podróżowanie elektrykiem staje się coraz bardziej naturalnym wyborem.

Szara eminencja partii Grzegorza Brauna. Od świętego pilota i eksperta do wroga Eurokołchozu, wietrzącego ukraiński spisek. – Zawsze był prawicowcem, ale nikt nie spodziewał się, że aż tak się zradykalizuje – mówią nam znajomi pośła Włodzimierza Skalika. Polityka, który oficjalnie poparł „Połexit”

Bartłomiej Romanek

KIM PAN JEST, PANIE SKALIK?

Jeden z najlepszych polskich pilotów w historii, ekspert lotniczy, sprawny przedsiębiorca, wreszcie prawa ręka Grzegorza Brauna. Kim jest Włodzimierz Skalik, były prezes Aeroklubu Częstochowskiego, dzisiaj poseł Konfederacji Korony Polskiej? – Zawsze był prawicowcem, ale nikt nie spodziewał się, że aż tak się zradykalizuje – mówią nam znajomi polityka, który 7 listopada oficjalnie poparł „Połexit”.

Prolog – kim pan jest, panie Skalik?

To jedyny obiektywny, w miarę obiektywny, dziennikarz w Częstochowie – czuję wskazanie na moją osobę. Jest 24 lutego 2022 roku. Rosja właśnie zaatakowała Ukrainę, ale to nie przeszkadza kilkunastu osobom świętować na Rynku Wieluńskim w Częstochowie przyjazd TIR-a Wolności Konfederacji. Świętują, bo ich zdaniem to presja Konfederacji sprawiła, że premier Mateusz Morawiecki za kilka dni cofnie znaczną część pandemicznych obostrzeń.

– Presja była skuteczna, warto było naciskać. To sukces Konfederacji, ale to też sukces Włodzimierz Skalik, członek Rady Liderów Konfederacji WiN. To on nazywa mnie „w miarę obiektywnym dziennikarzem”. To on nie wspomina słowem o sytuacji na Ukrainie. Dzisiaj nikogo to nie dziwi, bo wśród trzech tenorów Konfederacji Korony Polskiej, to był szef Aeroklubu Częstochowskiego śpiewa najbardziej antyukraińskim głosem.

Kim tak naprawdę jest Włodzimierz Skalik, najważniejszy współpracownik Grzegorza

Brauna i Romana Fritza? Czemu w swoich social mediach wielokrotnie mówi tym samym głosem, co Kreml, a byłego prezydenta RP Andrzeja Dudę oskarża o pochodzenie ukraińskie i nazywa go wiceprezydentem Ukrainy? Dlaczego chce zostać jednym z ojców założycieli operacji „Połexit”?

Akt I – znakomity pilot, ekspert lotniczy i wytrwały przedsiębiorca

6 maja 2013 roku, konferencja na podczęstochowskim lotnisku Rudniki. Włodzimierz Skalik, prezes Aeroklubu Częstochowskiego i Polskiego zaprasza na drugą edycję Targów Lotnictwa Lekkiego Para Rudniki. Chwali się, że po sukcesie pierwszej edycji imprezy, tym razem weźmie w niej udział aż 42 wystawców. – To rekordowa liczba, biorąc pod uwagę targi lotnicze na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat nie przypominam sobie, żeby inna impreza tego typu przyciągnęła więcej firm – mówi Włodzimierz Skalik. To sukces Aeroklubu Częstochowskiego, ale i samego Skalika, skutecznego przedsiębiorcy.

Jeden z najlepszych polskich pilotów w historii, sprawny przedsiębiorca, niezły prezes Aeroklubu Częstochowskiego i Polskiego, autorytet w dziedzinie lotnictwa cywilnego – poseł Włodzimierz Skalik może się pochwalić bogatym dorobkiem zawodowym. **Pilotem był znakomitym.** Ma na swoim koncie m.in. tytuł mistrza świata w lataniu precyzyjnym (1990) oraz dwukrotnego rajdowo-nawigacyjnego mistrza (1993, 1997).

Doświadczenie pilota przekuł w późniejsze sukcesy w roli przedsiębiorcy i prezesa Aero-

klubu Częstochowskiego. W 2010 roku został wybrany nawet prezesem Aeroklubu Polskiego (funkcję tę pełnił do 2018 roku). W tym samym roku został jednym z wiceprezydentów Międzynarodowej Federacji Lotniczej (FAI).

Jako prezes Aeroklubów Polskiego i Częstochowskiego dał się poznać jako sprawny menedżer. Włodzimierz Skalik to również niekwestionowany autorytet w dziedzinie lotnictwa, zwłaszcza lotnictwa cywilnego. Swoją wiedzą dzielił się chętnie. Nic dziwnego, że dziennikarze często wybierali jego numer, aby uzyskać ciekawe i wiarygodne opinie.

Włodzimierz Skalik to również znany w Częstochowie przedsiębiorca. Stworzona przez niego spółka z o.o. Wilga, działająca w branży grzewczej, kanalizacyjnej i sanitarnej, ma od lat stabilną pozycję na rynku, wykazując milionowe zyski (3,7 mln zł w 2023 roku).

– Włodzimierz Skalik nie jest typem szefa, który spoufala się ze swoimi podwładnymi. Rzadko ma czas, by porozmawiać z pracownikami, ale jest sprawny w zarządzaniu – mówi nam jedna z osób, która pracowała w firmie dzisiejszego pośła.

O ile Wilga wciąż prężnie działa, o tyle formuła prowadzenia przez pośła Skalika Aeroklubu Częstochowskiego

z roku na rok się wyczerpywała, głównie z powodu jego kontrowersyjnej działalności politycznej.

Kiedy po 27 latach nowym prezes został Krystian Krasinski, instytucja odetchnęła, a dowodem na to, jak wielki jest jej potencjał, była tegoroczna impreza lotnicza Air Show Rudniki, współorganizowana z władzami samorządowymi. Zakończyła się ona pełnym sukcesem. Włodzimierz Skalik nadal ceniony jest w częstochowskim środowisku lotniczym za swoją wiedzę i profesjonalizm (nie dawno uczestniczył nawet w imprezie z okazji 80-lecia Aeroklubu), ale zmiany w zarządzie organizacji wszystkim wyszły na lepsze.

Akt II – oskarżenie i oczyszczenie

17 stycznia 2021 roku. Pandemia w pełni. Jestem jednym z nielicznych dziennikarzy, którzy uczestniczą w konferencji prasowej online zorganizowanej przez prezesa Włodzimierza Skalika. Informuje on, że po ponad 4 i pół roku został oczyszczony z zarzutów w śledztwie prowadzonym przez Mazowiecki Wydział Zamiejscowego Departamentu do Spraw Prześiętności Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury w Warszawie. Zdaniem Włodzimierza Skalika jego sprawa była „pokazówką” Prokuratury Krajowej,

Polska
Poniedziałek, 17.11.2025

która trzy miesiące po zmianach, potrzebowała spektakularnego sukcesu. W 2016 roku sprawą żyły wszystkie media, także te ogólnopolskie. **Po latach sprawa oczyszczenia prezesa nie budzi większego zainteresowania.**

Ówczesnego prezesa Aeroklubu Polskiego zatrzymano 5 lipca 2016 roku. Zatrzymania dokonało Centralne Biuro Antykorupcyjne. Miał on zabrać na pokład samolotu wynajętego przez Aeroklub Polski, lecącego do Warszawy na południe Polski, pośła Ireneusza Rasia. Był to lot związany z przygotowaniem konferencji pod auspicjami Międzynarodowej Federacji Lotnictwa Sportowego. Samolot leciał do hotelu w Arłamowie. Pośła miał w ten sposób przyjąć korzyść majątkową w ramach za przychyłność w procedowaniu zmian w ustawie o sporcie. Drobiazgowo śledztwo prokuratury zostało umorzono, a Włodzimierz Skalik został oczyszczony z zarzutów i podejrzeń.

– Moje działania w Sejmie były w pełni legalne, nie naruszyły żadnych zasad procesu legislacyjnego, jak i innych przepisów oraz wynikały z moich obowiązków statutowych jako prezesa Aeroklubu Polskiego. Działania te były ukierunkowane na usunięcie błędnych zapisów ustawy o sporcie, które uniemożliwiały Aeroklubowi Polskiemu dostosowanie do wymagań tejże ustawy, co groziło jego rozwiązaniem – podkreślał podczas konferencji prasowej w 2021 roku Włodzimierz Skalik.

I chociaż jest jednym z nielicznych uczestników życia publicznego w Polsce, który po zatrzymaniu CBA później został całkowicie oczyszczony z zarzutów, to cała sprawa mocno wpłynęła na obecnego pośła. Nigdy nie ukrywał on swoich prawniczych poglądów, ale nawet dla ludzi z jego najbliższego otoczenia jego radykalizacja poglądów w ostatnich latach jest sporym zaskoczeniem.

W politykę zaangażował się dawno, bo już w 1989 roku jako kandydat Aeroklubu PRL starał się o mandat pośła, ale przegrał wybory z Jarosławem Kapsą z KO Solidarność.

– Włodzimierz Skalik zawsze miał prawnicze poglądy. Nigdy się z tym nie ukrywał, mówiąc m.in., że osoby homoseksualne nie powinny uczyć dzieci – mówi jedna z osób, które współpracowały z Włodzimierzem Skalikiem kilkanaście lat temu, kiedy obecny poseł KKP był radnym wojewódzkim z listy Prawa i Sprawiedliwości.

– Wydawał się zmęczony polityką, zawiedziony, że nie ma realnego wpływu na najważniejsze decyzje, a jednak kontynuował polityczną karierę. To, że znalazł się w środowisku Konfederacji nie jest dla mnie zaskoczeniem, ale tego, że dzi-

siaj jest prawą ręką Grzegorza Brauna, nigdy bym się nie spodziewał – mówi nasz rozmówca.

Akt III – antyszczepionkowiec i prawa ręka Grzegorza Brauna

15 stycznia 2021 roku, Restauracja 68 mieszcząca się przy Armii Krajowej w Częstochowie. Właściciel lokalu decyduje się go otworzyć, mimo obowiązujących rządowych obostrzeń. Na miejscu są policja i sanepid, a także Włodzimierz Skalik. Obwieszcza on, że policja zakłóca... pracę Sejmu. Skalik tłumaczy, że właśnie uczestniczy on w spotkaniu online jednego z zespołów parlamentarnych, a posłowie Grzegorz Braun i Janusz Korwin-Mikke zaprosili wszystkich w lokalu w charakterze gości do pracy w zespole i poprosili policjantów o opuszczenie lokalu i niezakłócanie prac zespołu.

Policjanci opuszczają lokal po kilkudziesięciu minutach dyskusji. Sabina Chyra-Giereś, ówczesna rzeczniczka prasowa Komendy Miejskiej Policji w Częstochowie, zapewnia nas, że funkcjonariusze opuścili Restaurację 68, bo wykonali wszystkie czynności, ale trudno nie odnieść wrażenia, że byli oni zdezorientowani słowami Włodzimierza Skalika.

Dzień później otwarta zostaje w Częstochowie Gospoda Złoty Garniec. Na miejscu znów jest Włodzimierz Skalik. Tym razem policja wyciąga wnioski z wcześniejszych wydarzeń i wykonuje czynności bez udziału mediów. Dziennikarze są zawiedzeni, że ominęło ich przedstawienie takie jak w Restauracji 68. Na pocieszenie Włodzimierz Skalik zaprasza wszystkich na obiad, ale nikt z tego wspaniałomyślnego gestu polityka nie korzysta.

Oczyszczenie z zarzutów zbiegło się w czasie z pandemią. Włodzimierz Skalik jest jedną z wiodących postaci ruchu antyszczepionkowego. Już 10 października 2020 roku jest organizatorem Marszu o Wolność w Częstochowie, który zgromadził kilkudziesięciu „antymaseczkowców”. Do prawdziwego marszu nie dochodzi, bo policja po 20 minutach rozwiązuje zgromadzenie, tłumacząc, że brak maseczek jest zagrożeniem dla życia i zdrowia uczestników protestu.

– To bezprawie, ale jako prawni obywatele zastosujemy się do tej decyzji. Nie zostawię jednak tak tej sprawy, trafi ona do sądu – komentuje na gorąco Włodzimierz Skalik.

W styczniu 2022 roku organizuje on kolejny protest na placu Biegańskiego w Częstochowie, tym razem przeciwko ustawie nr 1846, która umożliwia pracodawcy zapytania pracownika, czy został szczepiony i na tej podstawie o przesunięciu go do innych

*DZISIAJ WŁODZIMIERZ SKALIK
JEST ZAGORZAŁYM BRAUNISTĄ,
KTÓRY WSZELKIEGO ŻŁA
UPATRUJE W KIJOWIE, BERLINIE
I BRUKSELI*



FOT. ADAM JANKOWSKI

Włodzimierz Skalik od lat współpracuje z Grzegorzem Braunem. Znalazł się na listach Konfederacji w wyborach do Sejmu w 2023. Dostał „jedynkę” na opolskiej liście partii

obowiązków. „Eksperyment”, „holokaust” - to najłagodniejsze określenia używane przez protestujących w odniesieniu do decyzji rządu Mateusza Morawieckiego.

W pandemii Włodzimierz Skalik ugruntowuje swoją pozycję w środowisku szeroko pojętej Konfederacji. Od lat współpracuje z Grzegorzem Braunem. Już w 2015 roku współtworzy z nim fundację Po-budka. Skalik znalazł się na listach Konfederacji w wyborach do Sejmu w 2023 roku. Dostał pierwsze na opolskiej liście partii.

Dlaczego nie w Częstochowie? Bo w tym mieście trudno byłoby mu uzyskać mandat, o czym przekonał się Tomasz Stala. Częstochowski lider Konfederacji mimo aktywnej kampanii nie uzyskał mandatu w okręgu, w którym od lat karty rozdają KO, PiS i Lewica (mandat dla Henryka Kiepurzy z PSL w ostatnich wyborach to raczej wyjątek).

Na początku 2025 roku Włodzimierz Skalik wraz z Romanem Fritzem opuszczają sejmowy klub Konfederacji. To jedyna możliwa decyzja po tym, kiedy obaj zdecydowali się poprzeć w wyborach prezydenckich Grzegorz Brauna, a nie Sławomira Mentzena. Braun, Fritz i Skalik stają się trójką tenorów Konfederacji Korony Polskiej, która w sondażach ma wyniki pozwalające myśleć o dostaniu się do Sejmu w 2027 roku.

Robimy swoje. Szeroki front gaśnicowy idzie odzyskać Niepodległość - pisze na portalu X Włodzimierz Skalik, który w social mediach staje się specjalistą od ścigania ukraińskich spisków. Spójrzmy na pierwszy z brzegu wpis z 7 listopada:

Stolicę Eurokołchozu nieoficjalnie przeniesiono z Brukseli do Kijowa. Teraz obok niemieckich priorytetów dominować będą też ukraińskie, bo euroso-

wieciarze zgodzili się włączyć Ukrainę do Europejskiego Funduszu Obronnego - finansowanego z udziałem polskiego podatnika. Hańba!

Poseł Skalik, którego internauci złośliwie zaczynają nazywać „Włodzimierzem Moskalkiem” ze względu na wpisy, w których wielokrotnie mówi tym samym językiem, co Kreml, z upodobaniem szuka związków polskich polityków z Ukrainą. **A kto ma ukraińskie korzenie, tego trzeba się pozbyć.**

Minister Motyka, poseł Kowal, marszałek Kuchciński, wiceprezydent Ukrainy Andrzej Duda, minister Szeptycki. To tylko pierwsze z brzegu nazwiska osób będących z pochodzenia Ukraińcami lub mających ukraińskie powiązania. Z tym właśnie walczymy i tego właśnie musimy się pozbyć.

W tej antyukraińskiej narracji lider Konfederacji Korony Polskiej nie boi się sięgać nawet po fake newsy takie, jak ten, według którego Ukraińiec miał zastrzelić z broni automatycznej trzech Polaków w Krakowie. Twit zniknął z profilu posła, ale niesmak po tej sytuacji pozostał.

Włodzimierz Skalik broni również z uporem Bogdana Rymanowskiego, nazywając go dziennikarzem przez „duże D”.

Brednie to są u Was. Jesteście antypolskim brukowcem na pasku Żydów, który przebił już nawet Gazetę Wyborczą. Nie macie nic wspólnego z dziennikarstwem. Bardziej przypominać propagandę Goebbelsa z czasów III Rzeszy. Na szczęście zbliża się Wasz koniec. Polacy otwierają oczy - to wpis pod Twitem Newsweeka o Bogdanie Rymanowskim.

Włodzimierz Skalik jest zagorzałym braunistą, który wszelkiego zła upatruje w Kijowie, Berlinie i Brukseli. Uznawany jest za szarą emi-

nencją Konfederacji Korony Polskiej, głównie ze względu na swoje wielkie doświadczenie biznesowe i menedżerskie. Razem z Grzegorzem Braunem i Romanem Fritzem współtworzą sieć kilku fundacji, których głównym celem jest szerzenie prawicowych, katolickich i narodowych wartości. W Częstochowie, z którą przez niemal całe życie związany jest Włodzimierz Skalik, od dawna mówiono, że pod względem poglądów, **na prawo od Grzegorza Brauna jest ściana. Teraz między Brauna a ścianą próbuje się wcisnąć były prezes Aero-klubu Częstochowskiego.**

Epilog - Eurokołchoz i „Polexit”

7 listopada 2025 roku, konferencja prasowa pod pomnikiem Państwa Podziemnego w Warszawie. Liderzy Konfederacji Korony Polskiej ogłaszają, że jedynym wyjściem dla Polski jest „Polexit”. Specjalnym gościem wydarzenia jest Tomasz Sommer, prawicowy dziennikarz, znany m.in. z nazwania reprezentanta Polski w koszykówce, Jeremiego Sochana „murzy-nem z tarantulą na głowie”. Autor książki „Poza Unią jest życie” wielokrotnie rozpowszechniał w sieci fake newsy, m.in. o rządowym programie in vitro.

- Eurosołowicy ingerują niemal w każdą dziedzinę życia społecznego i gospodarczego Polaków - mówi Włodzimierz Skalik, snując dalej opowieść o eurosowietach, którzy razem z kolejnymi rządami Mateusza Morawieckiego i Donalda Tuska niszczą polskie rolnictwo, górnictwo i energetykę. - Jest życie poza eurokołchozem, odzyskajmy niepodległość, tylko „Polexit” - kończy opowieść o eurosowietach poseł Włodzimierz Skalik.

Kim pan się stał, panie Skalik?

REKLAMA

0011409946

ALIOR BANK

iKONTO BIZNES

Z NOWĄ BANKOWOŚCIĄ ELEKTRONICZNĄ

DO 4200 zł

PREMIJ ZA UDZIAŁ W PROMOCJACH I SKORZYSTANIE Z INNYCH USŁUG

iKonto Biznes kierujemy do nowych klientów prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą. Na łączną kwotę premii do 4200 zł składają się: 400 zł za założenie rachunku online, 500 zł za kredyt firmowy, 300 zł za zawarcie z firmą Polskie ePłatności sp. z o.o. umowy o terminal płatniczy i transakcyjność na terminalu, do 1500 zł za transakcję kartą debetową Mastercard z Plusem, do 1000 zł za spłatę raty leasingowej w Alior Leasing sp. z o.o. z rachunku firmowego, nawet 500 zł za przelewy do ZUS. Szczegółowe warunki uzyskania premii określone są w regulaminach promocji „Plusy karty z Plusem dla posiadaczy firmowej karty debetowej Mastercard z Plusem Alior Banku SA – V edycja”, „Aliorowe kody promocyjne” i „Nawet 1200 zł na start”. Propozycja obowiązuje od 20.10.2025 r. do 31.01.2026 r. Pełna informacja o iKoncie Biznes, w tym tabela opłat i prowizji, oraz regulaminy: prowadzenia rachunków dla przedsiębiorców, kart debetowych dla klientów biznesowych, korzystania z kanałów elektronicznych dla przedsiębiorców i regulaminy ww. promocji, są dostępne na aliorbank.pl i w placówkach Alior Banku SA.

Biła, bo spać nie chciało. Matki i dramaty dzieci

Agnieszka pobiła dwuletnią córeczkę, bo dziecko nie chciało spać podczas imprezy. Julia biciem „uspokajała” Brajanka, gdy płakał. - Takich spraw przybywa - mówią prokuratorzy

Malgorzata Oberlan

Ustawa Kamilka” działa. Zgłoszeń dotyczących przemocy wobec dzieci czy wręcz znęcania jest zdecydowanie więcej.

Wzrosła społeczna wrażliwość i profesjonalizm służb, instytucji. Tylko w naszej prokuraturze i tylko w bieżącym roku prowadziliśmy lub nadal prowadzimy 140 spraw dotyczących znęcania się w rodzinie.

Większość odnosi się do dzieci, a podejrzany często są młodzi rodzice. I nawet jeśli część tych spraw umarzamy, to efektem i tak zawsze jest przynajmniej wgląd w sytuację rodziny - podkreśla prokurator Joanna Becińska, kierująca Prokuraturą Rejonową Toruń Wschód.

To właśnie ta prokuratura w październiku postawiła Agnieszce W. zarzuty znęcania się nad dwuletnią córeczką. Ta 24-letnia matka tak pobiła

dziecko, że trafiło ono do szpitala. Kobieta jest w areszcie.

Agnieszka i Wiktoria. Biła, bo dziecko nie pozwoliło jej imprezować

Blok na Jakubskim Przedmieściu w Toruniu. Porządne osiedle. To tutaj rozgrywał się dramat dwuletniej Wiktorii - dziewczynki wychowywanej przez 24-letnią toruniankę.

Jak nietrudno policzyć, Agnieszka W. została matką mając lat 22. Z ojcem dziecka jej się nie ułożyło. Ale, jak przekazuje prokuratura, uznał córkę, dziecko nosi jego nazwisko. Dobrowolnie płacił też alimenty. Agnieszka natomiast pracowała - wtedy do dziecka przychodziła opiekunka i to ona 19 października br. stanęła na wysokości zadania.

- Widząc obrażenia u dziecka, opiekunka wymusiła na matce udanie się z nim do szpitala na Skarpie, szanta-

żując wręcz, że jeśli tego nie uczyni, to wezwie policję. Dzięki temu dziewczynka otrzymała pomoc medyczną. Potem lecznica zawiadomiła o podejrzeniu pobicia i znęcania się nad dziewczynką organy ścigania - mówi prokurator rejonowa Joanna Becińska.

Od 19.10. dziewczynka była hospitalizowana w szpitalu dziecięcym na Skarpie. Zajmowały się nią tutaj „oddziałowe ciocie”, czyli pielęgniarki. Wiktoria najbardziej fizycznie ucierpiała 18.10. Wtedy jej matka świętowała swoje urodziny. Była to domowa impreza ze znajomymi, alkoholem i marihuaną. Dziecko w niej wybitnie przeskadzało, bo nie chciało spać...

- Poirytowana sytuacją matka kilkukrotnie udawała się do pokoju, gdzie dziecko spało, chcąc je „uciszyć”. Agnieszka W. uderzała dziecko w pośladki, po twarzy, głowie, uciśkała rączki, zasłaniała twarz -

wylicza prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Impreza trwała do późnych godzin nocnych. Następnego dnia interwencję podjęła wspomniana opiekunka. Sama Agnieszka W. natomiast w prokuraturze usłyszała zarzuty znęcania się nad własnym dzieckiem i została tymczasowo aresztowana na 3 miesiące.

- Matka przyznała się do popełnienia zarzucanego jej czynu, ale, jak wyjaśniała, „nie spodziewała się, że te uderzenia mogły być tak mocne i spowodować tak rozległe obrażenia”. Grozi jej kara do 8 lat pozbawienia wolności - zaznacza rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Jak długo trwała krzywda Wiktorii? Śledczy już przekazują, że jeśli nie biła, to przynajmniej poważnie zanieczywana mogła być także przed krytycznym 18 października. Tak ze-

znają świadkowie. Teraz dziewczynka decyzją sądu rodzinnego trafić ma do rodziny zastępczej.

Julia i Brajanek. Biła, bo płakał i ją denerwował

Jak w sądach kończą się sprawy takich matek? Różnie. W tym roku wyrok usłyszała 19-letnia Julia W. z Radzyna Chełmińskiego. Sprawa była głośna nie tylko w Kujawsko-Pomorskiem. Rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na 5 lat próby (to okres maksymalny), dozór kuratora przez ten czas, zobowiązanie do podjęcia pracy zarobkowej oraz zakaz jakiegokolwiek kontaktowania się i zbliżania do syna Brajana na okres 5 lat - to kara dla Julii W. za znęcanie się nad synkiem.

Wyrok zapadł w Sądzie Rejonowym w Wąbrzeźnie. Młoda matka przyznała się do znęcania i dobrowolnie poddała się karze - uzgodnionej z prokuraturą. Chłopczyk natomiast już

na etapie wszczęcia śledztwa przez prokuraturę trafił do pieczy zastępczej. Jest bezpieczny.

- Jeśli Julia W. złamie warunki obowiązujące ją podczas 5-letniego okresu próby, np. te dotyczące zbliżania się do dziecka na odległość mniejszą niż sto metrów, to zarządzone może zostać wykonanie zawieszony kary więzienia - podkreśla prokurator Agnieszka Żuchowska, zastępca szefa Prokuratury Rejonowej w Wąbrzeźnie.

W ocenie prokuratury, która przed wyrokiem wyraziła zgodę na taką właśnie karę, maksymalny okres próby i dozór kuratora w tym czasie lepiej spełnią swoją rolę wobec Julii W. niż np. rok bezwzględnej więzienia, po którym młoda kobieta wyjdzie na wolność i nie zmieni postawy życiowej.

Według ustaleń Prokuratury Rejonowej w Wąbrzeźnie, znęcanie się nad Brajankiem trwało praktycznie od jego uro-

AUTOREKLAMA

0011427796

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

do kupienia
także
w sieci





FOT. 123RF

Z policyjnych statystyk wynika, że w Polsce wręcz lawinowo rośnie liczba małych dzieci, co do których występuje prawdopodobieństwo, że są ofiarami przemocy domowej

dzenia (2023 r.), a przerwane zostało dopiero w krytycznym dniu 26.02.2024 r. Wtedy nieprzytomny chłopczyk trafił do ośrodka zdrowia, a z niego - do szpitala w Grudziądzu. Wcześniej, jak ustaliła prokuratura, 19-letnia matka swojego synka nie tylko zaniedbywała (nie karmiła, nie przewijała), ale także szarpała go, biła, krzyczała. - Tłumaczyła, że denerwował ją płacz dziecka i w ten sposób go „uspokajała”. Ojciec dziecka natomiast zeznał w śledztwie, że niczego niepokojącego nie zauważył i że oboje opiekowali się synem do-

brze - powiedział nam prokurator rejonowy Janusz Biewald.

To, że Brajan musiał być bity i to poważnie, po całym ciecie, wyszło na jaw za sprawą lekarzy. Odkryli ślady starszych obrażeń, ale i te, które powstały w okolicach 26 lutego ub. r. Prokuratura w akcie oskarżenia doprecyzowała, że chłopczyk bity był przez matkę po całym ciecie - głowie, brzuchu, pośladkach.

Radzynianka swoje pierwsze dziecko urodziła mając 17 lat. Pierworodny syn Alan został jej i ojcu odebrany, bo para była niewydolna rodzicielsko. Dziecko trafiło do pieczy zastępczej.

W 2023 r. młoda kobieta została matką kolejny raz - urodziła Brajana. Czy rodzic będzie dalej? Niewykluczone. Przecież żaden wyrok sądu tego nie zakazuje...

Skala przemocy poraża. A najmniejsze dzieci „poza systemem”

Przypadków znęcania się nad dziećmi przez rodziców, w tym przez młode matki, przybywa. W kraju doniesienia o podobnych dramatach pojawiają się regularnie. W grudniu minionego roku PAP donosił: „11-miesięczna dziewczynka została przyjęta do Dolnośląskiego Szpi-

tala Specjalistycznego im. T. Marciniaka we Wrocławiu w sobotę. Przywiozła ją jej 20-letnia matka, mieszkanka powiatu dzierzoniowskiego. Lekarzy zaniepokoiły obrażenia na ciele dziecka i powiadomili policję. Kobieta i jej 27-letni konkubent, który nie jest ojcem dziecka, zostali zatrzymani”.

Na początku stycznia br. natomiast media w całym kraju odnotowały, że: „2 stycznia Prokuratura Okręgowa w Ostrowie Wielkopolskim postawiła zarzuty 19-latkce i 30-latkowi, którzy od 27.10. do 30.12. ub. r. działając wspólnie i w porozumieniu, znęcali się psychicznie i fizycznie nad swoją dwumiesięczną córeczką. (...) Rodzice z Kępna (woj. wielkopolskie) swoje zachowanie usprawiedliwiają płaczem dziecka. Za popełnione przestępstwa grozi im nawet do 20 lat więzienia”.

To tylko przykłady, promil zjawiska. Z policyjnych statystyk wynika, że w Polsce wręcz lawinowo rośnie liczba małych dzieci, co do których występuje prawdopodobieństwo, że są ofiarami przemocy domowej.

W 2022 r. było ich 10 tys. 982, rok później - 17 tys. 039, a w 2024 r. aż 25 tys. 723. Tu przypomnijmy, że to właśnie w tym roku weszła w życie „Ustawa Kamilka” (lutym 2024).

Taki wzrost liczby zgłoszeń niepokoi, ale - paradoksalnie - świadczy też o lepszym funkcyj-

nowaniu systemu ochrony dzieci, choć nadal istnieje tzw. ciemna liczba. Otoczenie jest coraz bardziej wrażliwe na płacz dziecka za ścianą, klapsy wymierzane na ulicy, siniaki. Częściej reagują też szkoły, służba zdrowia, pracownicy socjalni. W pewien sposób „poza syste-

mem” pozostają jednak najbardziej bezbronni dzieci - niemowlęta i te do trzeciego roku życia, te, które nie trafiają do żłobka czy przedszkola, zdane są na rodziców.

A ci, szczególnie młodzi, niezadko są do rodzicielstwa kompletnie nieprzygotowani.



Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



**Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn**
tel. 22 739 55 00

0011346468

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJA ZIEMIA I LUDZIE

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

Inwestycja w czas i zdrowie

Pan Paweł z Zapolic (woj. łódzkie) skorzystał w ubiegłym roku z programu Czyste Powietrze. Jest bardzo zadowolony, bo jego opłaty za właśnie miniony sezon grzewczy wyniosły... zaledwie 200 zł. Jednak przyczyniła się do tego nie tylko dotacja z programu, ale także zapobiegliwość gospodarza, który od początku dbał, by eksploatacja jego domu wymagała jak najmniej energii.

Program „Czyste Powietrze” Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej nie jest nowy. W marcu ruszyła jego kolejna edycja. Najważniejsze zmiany to wyższe limity dotacji, większe wsparcie dla osób korzystających z programu i szybsza obsługa wniosków. Zaliczkę dostaje na konto beneficjent programu, a nie - jak dotąd - wykonawca inwestycji.

Zdążył przed sezonem

Pan Paweł ma dobrze ocieplony dom, wprowadził się do niego w 2016 r. Dom został już wybudowany według wysokich norm dotyczących termoizolacji, ogrzewany był jednak piecem na ekogroszek. Pan Paweł stanął więc przed koniecznością zmiany źródła ciepła i w tym celu postanowił skorzystać z programu Czyste Powietrze. Udał się do urzędu gminy, gdzie specjalnie oddelegowana do tego urzędniczka pomogła mu wypełnić wniosek i zebrać potrzebne dokumenty.

Najpierw były panele

Pan Paweł dwukrotnie korzystał z gminnego programu dotyczącego fotowoltaiki, finansowanego z funduszy europejskich. Część paneli dokupił też we własnym zakresie. Dlatego uznał, że pompa ciepła będzie najbardziej korzystnym rozwiązaniem. W programie Czyste Powietrze jest jeszcze możliwość wymiany kotła na węgiel na piec na pelet.

We wniosku, poza kupnem i instalacją samego urządzenia, była także modernizacja instalacji centralnego ogrzewania oraz samej kotłowni. Trzeba było zdemontować stary piec, zamontować jednostki wewnętrzne i zewnętrzną pompę ciepła, dołożyć grzejniki, wymienić rury, zamontować termostaty. W rodzinie pana Pawła jest - według wytycznych programu - dość wysokie wynagrodzenie na członka rodziny, więc dotacja z programu pokryła ok. połowę kosztów inwestycji. Gospodarz



zdecydował się skorzystać z usług renomowanej firmy montującej pompy.

- Skorzystanie z tego programu bardzo mi się opłacało. Rachunki spadły mi do 200 zł za ostatnie pół roku! - cieszy się pan Paweł. - Poza tym jest bardzo wygodnie. Mogę zapomnieć o kupowaniu węgla, dokładaniu do pieca, wysypywaniu popiołu itd. To bardzo angażujące prace domowe. Teraz

mam mniej kłopotu, czysto w kotłowni i więcej czasu dla siebie - opowiada.

Zysków jest więcej

Jest jeszcze jedna zaleta wymiany pieca. Pan Paweł ma alergię. Wyrzucanie popiołu było dla niego szczególnie uciążliwe. Nie ma także nieprzyjemnie pachnącego dymu. Pan Paweł pozbył się kataru i innych objawów alergii.

Czyste Powietrze w gminie Zapolic

Gmina Zapolic w 2019 r. zawarła z WFOŚiGW w Łodzi porozumienie ws. wspólnej realizacji PP Czyste Powietrze. Od początku trwania programu wnioskodawcy z Gminy Zapolic złożyli 435 wniosków, zawarli 386 umów i zrealizowali 246 przedsięwzięć. Kwota wypłaconych dotacji wynosi ponad 4 875 000,00 zł. W Urzędzie Gminy Zapolic uruchomiono punkt konsultacyjno-informacyjny, prowadzone są działania promocyjne i edukacyjne zachęcające do termomodernizacji budynków. Zakupiono również 3 czujniki jakości powietrza oraz dron do identyfikacji punktowych zanieczyszczeń powietrza, co ułatwi walkę ze smogiem. Listę gminnych punktów konsultacyjnych i operatorów programu znaleźć można na stronie czystepowietrze.gov.pl.

Może wreszcie odetchnąć pełną piersią.

Zimą pompa ciepła podgrzewała nie tylko powietrze w domu, ale także ciepłą wodę użytkową. Teraz pan Paweł wyłączył pompę, bo latem nie potrzebuje ciepłych grzejników, a wodę podgrzewa mu bojler elektryczny.

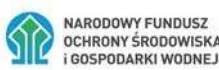
Inwestor marzy o turbinie wiatrowej. - Panele fotowoltaiczne pracują

głównie latem, a turbina wiatrowa także zimą. Pobór energii z sieci spadłby mi jeszcze bardziej. Może pojawi się jakiś opłacalny program dla takich prosumentów jak ja - dodaje na koniec.

Sprawdź, jaką dotację możesz uzyskać

Program zakłada trzy poziomy dofinansowania według progów dochodowych w gospodarstwie domowym.

- **Poziom najwyższy**
 - do 100 proc. dofinansowania
 - przy miesięcznym dochodzie do 1 300 zł na osobę w gospodarstwach wieloosobowych lub do 1 800 zł w gospodarstwie domowym jednoosobowym, oraz dla osób otrzymujących zasiłki.
- **Poziom podwyższony**
 - do 70 proc. dofinansowania - obowiązuje przy miesięcznym dochodzie do 2 250 zł na osobę lub 3 150 zł w gospodarstwach jednoosobowych.
- **Poziom podstawowy**
 - do 40 proc. dofinansowania - dla osób z dochodem do 135 000 zł rocznie.



Niniejszy materiał został dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Fundacja Ziemia i Ludzie.

**UWAGA,
KONKURS!**

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza?
Podziel się z nami swoją Prawdziwą Historią
i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło.
Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc
do wygrania
**hulajnoga
elektryczna!**

WHospicjum Proroka Eliasza w niewielkiej wsi Makówka w powiecie hajnowskim czas płynie inaczej.

Choć to miejsce kojarzy się ze smutkiem, w rzeczywistości smutno tu wcale nie jest. Korytarze wypełnia śmiech, dźwięki muzyki z warsztatów, rozmowy przy kawie. Pacjenci, którzy są w stanie, uczestniczą w spotkaniach, zajęciach, małych świątach codzienności. Tu życie toczy się inaczej - wolniej, ale wciąż intensywniej.

To miejsce, w którym można jednocześnie śmiać się i płakać, cieszyć się chwilą i przygotowywać na rozstanie. I to właśnie tu, pewnego lipcowego dnia, przybyła pani Tamara. Choroba nie dawała nadziei, ale każdego dnia jej pokój wypełniał się prawdziwym uczuciem - przyjeżdżał Sławek, jej partner od niemal dwudziestu lat.

Miłość, która czekała na swój czas

- Pani trafiła do nas w pierwszej połowie lipca, a ślub odbył się pod koniec miesiąca - wspomina Anita Oksentowicz, odpowiedzialna w hospicjum za kontakty z mediami. - To był krótki pobyt, ale wystarczająco długi, byśmy zdążyli dobrze poznać tę parę. Pan odwiedzał ją codziennie. Widać było w ich

ŚLUB W HOSPICJUM

Powiedziała „tak” na hospicyjnym łóżku. Tydzień później odeszła. Historia ślubu Tamary i Sławka w Hospicjum Proroka Eliasza w niewielkiej wsi Makówka w powiecie hajnowskim rozeszła się szerokim echem po kraju

Agnieszka Domanowska

spojrzeniach i gestach, jak bardzo byli ze sobą związani. To było prawdziwe, głębokie uczucie.

Tamara i Sławek znali się od wielu lat, byli razem, ale nigdy nie sformalizowali swojego związku. Żyli za granicą, z dala od tradycji, w codziennym biegu nie znajdując czasu na to, co wydawało się nieistotne. Dopiero w obliczu śmierci zrozumieli - chcą być razem naprawdę. Nie tylko w życiu, ale i po tamtej stronie.

- Chyba wyszło to w rozmowie z doktor Ewą - kontynuuje Anita. - Mówili, że chcieliby się pobrać, ale do tej pory nie było na to czasu. Naszemu personelowi niewiele trzeba było, by pomóc spełnić to marzenie. To miał być ślub prawosławny, więc najpierw skontaktowaliśmy się z proboszczem, by sprawdzić, czy w ogóle jest to możliwe, bo w cerkwi obowiązują zapowiedzi i terminy. Ale jak tu mówimy: w hospicjum nie ma rzeczy niemożliwych.

Dwa dni cudu

Kiedy w czwartek zapadła decyzja, że ślub odbędzie się w niedzielę, w hospicjum ruszyła lawina dobra.

- Jeden telefon uruchomił wszystko - wspomina doktor Ewa Stankiewicz, wiceprezes Fundacji Proroka Eliasza. - Pani Ewelina, nasza koordynatorka wolontariuszy, zaczęła dzwonić: fryzjerka, kosmetyczka, kwiaciarka... I nie było ani jednego „nie”. Każdy znalazł czas, każdy podał pomocną dłoń.

Polska
Poniedziałek, 17.11.2025

Maria, wolontariuszka od samego początku istnienia hospicjum, pamięta tamten moment:

To było dla nas wielkie zaskoczenie, że tak szybko to się ma odbyć. Nie było czasu do stracenia, trzeba było od razu działać. To był pierwszy ślub w naszym hospicjum, więc my też to przeżyaliśmy. Chcieliśmy, żeby państwo młodzi odczuli, że mimo iż są w hospicjum, to będzie to naturalny i piękny ślub.

Maria zajęła się przygotowaniem pary do sakramentu. Oboje przez lata mieszkali za granicą, nie praktykowali, nie przyjmowali sakramentów.

- To wymagało długich rozmów - wspomina Maria. - Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo pani Tamara zmarła niespełna tydzień po ślubie.

Organizacja potoczyła się błyskawicznie. Synowa Marii, która zajmuje się dekoracją wnętrz, akurat w tym czasie przygotowywała inną salę weselną.

- Poprosiłam ją, czy może wypożyczyć dekoracje, żeby udekorować naszą kaplicę - mówi Maria. - Przyjechali z gotowym wystrojem. Cudownie wyglądało.

- Zespół As na początku odmówił. Mieli inne wesele - dodaje Anita. - Ale później oddzwonili: „Wesele mamy po południu, więc przyjedziemy, jakoś zepniemy to wszystko”. Przyjechali, zagrali, tańce były. Nawet pierwszy taniec!

Fryzjerka, kosmetyczka, kwiaciarnia - wszyscy odpowiedzieli na prośbę o pomoc natychmiastowo.

- To było takie niesamowite - wspomina Anita. - Ktoś co chwilę na coś fajnego wpadał i wrzucaliśmy to do realizacji. Normalnie organizacja ślubów i wesel trwa dwa, trzy lata, a tutaj w dwa dni.

Maria podsumowuje to prostymi słowami:

Ja wiem, że Pan Bóg w tym nam pomógł. Gdybyśmy nawet wcześniej to wydarzenie planowali, to by tak pięknie nie wyszło.

Dzień, który zatrzymał czas

Niedziela, koniec lipca. Hospicyjna kaplica, białe kwiaty, korony weselne...

- Panna młoda leżała, ale była bardzo kontaktowa, świadoma i bardzo wzruszona - wspomina Anita. - Wybierała suknię, wybierała kolor kwiatów. Nawet na takie rzeczy był czas. Fryzjerka i kosmetyczka przyjechały, zrobiły jej fryzurę i makijaż. Pani nie mogła napatrzeć się na siebie, bo normalnie stroniła od makijażu. Nawet prosiła po ceremonii, żeby jej go nie zmywać, że ona w tym makijażu zostanie jak najdłużej.

Goście weselni - rodzina państwa młodych - początkowo czuli respekt przed miejscem ślubu.

PATRONAT NASZEMIASTO.PL

35. Bieg Niepodległości w Warszawie z dwoma rekordami: Polski na 10 km i frekwencyjnym!

To był największy bieg w historii Warszawy i drugi największy w historii Polski - ponad 18 111 uczestników ukończyło 35. Bieg Niepodległości na dystansie 10 km. Na wszystkich dystansach wystartowało ponad 19 tys. zawodników. Kilkadziesiąt tysięcy osób - biegaczy i kibiców - wypełniło dziś ulice stolicy, czyniąc imprezę jednym z największych patriotycznych wydarzeń 11 listopada w Polsce. Podczas zawodów padły jeszcze dwa rekordy - Polski w biegu kobiet na 10 km. Ustanowiła go najszybsza tego dnia Elżbieta Glinka, uzyskując czas 32:00. W rywalizacji mężczyzn zwyciężył Belg Clément Deflandre z wynikiem 28:26, a finiszujący na drugiej pozycji Łotysz Arturs Niklavs Medveds ustanowił nowy rekord Łotwy.

Wyjątkową atmosferę zapewnili zawodnicy, którzy na linii startu ustawili się w białych i czerwonych koszulkach, tworząc wielką, żywą flagę Polski. Tuż przed rozpoczęciem biegu wspólnie odśpiewali hymn narodowy. Wzdłuż trasy pojawiły się grupy rekonstrukcji historycznej - wśród nich sam Marszałek Piłsudski.

Sportowa rywalizacja - znany najszybszy!

Po pięciu latach padł nowy rekord Polski kobiet na dystansie 10 km. Dotychczasowy najlepszy wynik pobiła dziś w Warszawie Elżbieta Glinka czasem 32:00. Podium zdominowały Polki, na drugim miejscu uplasowała się Sabina Jarząbek (33:43), trzecia była Klara Strząbała (34:07). W klasyfikacji generalnej mężczyzn zwyciężył Clément Deflandre z Belgii, który pokonał trasę w czasie 28:26. Drugie miejsce zajął Arturs Niklavs Medveds z Łotwy z czasem 28:27 (nowy rekord Łotwy), a na trzeciej pozycji uplasował się Florian Le Pallec z Francji (29:25). Pierwszym z Polaków był Kuba Gajda, który finiszował na piątym miejscu z czasem 30:19. Dwa rekordy narodowe - Polski i Łotwy - podkreślają wysoki poziom sportowy wydarzenia.

Rekordowa frekwencja

Rekordowa liczba uczestników potwierdziła rangę Biegu Niepodległości jako jednego z najważniejszych wydarzeń biegowych w Polsce. W biegu głównym na 10 kilometrów finiszowało 18 111 osób, co stanowi najwyższy wynik w historii nie tylko tej imprezy, ale w ogóle wydarzeń biegowych

w Warszawie. Jest to zarazem drugi najlepszy wynik jeśli chodzi o pojedynczy bieg w Polsce. Łącznie z dwoma towarzyszącymi dystansami: Miłą Niepodległości (dzieci i młodzież) oraz marszem Nordic Walking - zawody zgromadziły ponad 19 tys. uczestników.

Tłumy na trasie i wzdłuż ulic Warszawy pokazały, jak silna jest tradycja tego wydarzenia i jak ważne jest wspólne przeżywanie Święta Niepodległości - niezależnie od wieku, formy aktywności czy sportowego doświadczenia.

Serdecznie gratuluję wszystkim, którzy dziś stanęli na starcie i z uśmiechem dotarli do mety! Ponad 18 tysięcy biegaczy, ponad 500 uczestników nordic walking oraz blisko pół tysiąca dzieci, które pokonały Miłą Niepodległości. Wynik ten napawa dumą i daje ogromne poczucie satysfakcji, że w tym radosnym dniu potrafimy świętować razem - aktywnie, z pasją i z sercem. Dziękuję Wam za piękną atmosferę, za biało-czerwone barwy na trasie i za to, że pokazujecie, jak można łączyć miłość do ruchu z miłością do Ojczyzny. Gratuluję zwycięzcom i wszystkim, którzy dziś podjęli to wyzwanie, niezależnie od wyniku. Każdy, kto uczestniczył w wydarze-

niu, jest zwycięzcą. Dziękuję organizatorom, wolontariuszom, służbom miejskim oraz wszystkim zaangażowanym za sprawne przeprowadzenie Biegu Niepodległości. Dzięki Wam Warszawa mogła dziś oddychać sportem i wolnością. Do zobaczenia za rok. Niech żyje Niepodległa! - mówi Renata Kaznowska, Wiceprezydentka m.st. Warszawy.

Patriotyczne święto

Atmosfera 35. Biegu Niepodległości po raz kolejny udowodniła, że sport może być jednym z najpiękniejszych sposobów wspólnego świętowania. Tuż przed startem tysiące uczestników wspólnie odśpiewało hymn Polski, a ustawieni w białych i czerwonych koszulkach biegacze stworzyli ogromną, żywą flagę rozciągającą się wzdłuż ulic stolicy. Na trasie towarzyszyły im tłumy kibiców, którzy w biało-czerwonych barwach dodawali energii i tworzyli wyjątkową oprawę wydarzenia, a także grupy rekonstrukcji historycznej w tym Grupa Historyczna „Zgrupowanie Radosław”. W wydarzenie włączył się także Chór Politechniki Warszawskiej. Bieg Niepodległości stał się symbolem jedności i radości ze wspólnego świętowania - dla wielu

mieszkańców Warszawy to już nie tylko sportowe wyzwanie, ale tradycja.

Wspaniała atmosfera, niezwykle wspierający kibice i rekordowa frekwencja - to wszystko sprawiło, że 35. Bieg Niepodległości na długo pozostanie w naszych sercach. Wspaniale było patrzeć na tysiące biegaczy, którzy z radością i dumą świętowali odzyskanie niepodległości w biało-czerwonych barwach. Dla PKO Banku Polskiego to wielka satysfakcja móc wspierać największy bieg w kraju, który jednoczy Polaków we wspólnym celebrowaniu wolności - mówi Krzysztof Dresler, wiceprezes zarządu PKO Banku Polskiego.

Warszawska Triada Biegowa

35. Bieg Niepodległości był finałem tegorocznej Warszawskiej Triady Biegowej „Zabiegaj o Pamięć” - cyklu, który od lat łączy miłość do biegania z ideą pielęgnowania narodowej historii. W skład Triady wchodzi również Bieg Konstytucji 3 Maja i Bieg Powstania Warszawskiego - każde z tych wydarzeń upamiętnia inne, kluczowe momenty w dziejach Polski. Uczestnicy, którzy ukończyli wszystkie trzy biegi, mogli skompletować pełny zestaw medali, tworzących jed-

ną symboliczną kompozycję. Dla wielu z nich to coś więcej niż sportowe osiągnięcie - to osobista forma oddania hołdu historii

Wciąż możesz pobiec!

Dla wszystkich, którzy nie mogli świętować 11 listopada w Warszawie, przygotowano Wirtualny Bieg Niepodległości. To odsona wydarzenia skierowana do osób z całej Polski i spoza jej granic. Uczestnicy mają do pokonania dystans 10 km w dowolnym miejscu i czasie - między 11 a 18 listopada. To sposób, by symbolicznie dołączyć do wspólnego świętowania i poczuć atmosferę wydarzenia, niezależnie od miejsca zamieszkania. Zapisy trwają do 18 listopada na stronie rejestracja.maratonwarszawski.com.pl.

- Patrząc dziś na morze biało-czerwonych koszulek na trasie, trudno nie poczuć wzruszenia. Ten bieg od lat łączy ludzi - niezależnie od wieku czy sportowego doświadczenia - a tegoroczna frekwencja pokazała, jak bardzo potrzebujemy takich momentów wspólnoty. Cieszymy się, że 35. edycja Biegu Niepodległości stała się największą w historii i że razem z tysiącami uczestników mogliśmy przeżyć ten dzień w tak wyjątkowy sposób - mówi Magdalena Skrocka, Dyrektorka 35. Biegu Niepodległości.



FOT. KRZYSZTOF LUCZAK

– Chcieli wziąć ślub, więc zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy
– mówi krótko doktor Paweł Grabowski, prezes Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza

– Myśmy rozmawiali między sobą, że może nie do końca czuli się pewnie, bo dla niektórych była to pierwsza wizyta w hospicjum – mówi doktor Ewa. – Być może dla nich kojarzyło się tylko ze smutkiem. Ale byliśmy wszyscy razem: my jako zespół, z rodziną, z gośćmi weselnymi. I myślę, że to dało im odwagę i poczucie bezpieczeństwa.

Najbardziej wzruszającym momentem było błogosławieństwo. Mama pana młodego pa-

miętała o tradycji – kiedy młodzi podchodzą do ołtarza, należy ich pobłogosławić.

– To był niezwykle poruszający moment – wspomina doktor Ewa. – Błogosławiła parę młodą z całego serca. Następnie błogosławieństwa udzielił świadkowie zarówno ze strony panny młodej, jak i pana młodego.

Wszyscy czekali na tradycyjny moment trzymania koron nad głowami młodych.

– Czekaliśmy i czekaliśmy – opowiada doktor Ewa. – A pro-

boszcz te dwie przepięknie przygotowane korony, które leżały na stoliku w kaplicy, po prostu włożył na głowy państwa młodych. To był moment, kiedy wszyscy jakby zamarli. Moment wyczekiwany, ale też zaskakujący nas wszystkich, bo tego się nie spodziewaliśmy.

Po ceremonii nowożeńcy przeszli przez szpaler białych róż – panna młoda przejechała na łóżku.

– Odprowadziliśmy ich do sali weselnej. Tę salę w mi-

dzyczasie dziewczyny udekorowały przepięknie. Całe przyjęcie weselne było na sali chorej, ale została ona przemieniona można powiedzieć w bankietową, a nasza kuchnia stała na wysokości zadania – wspomina doktor Ewa.

Dar czasu

Dla pana młodego cała sytuacja była jak sen.

– Najbardziej mi zależało na tym, żeby poczuł się bezpiecznie – kontynuuje lekarka. – Żeby w całej tej sytuacji mógł po prostu być, towarzyszyć przyszłej żonie. Nie skupiać się na detalach, na cateringu, na tym, co będzie na stole, jakie będą kwiaty. Żeby mógł po prostu być przy niej.

– Były takie momenty, że on nie dowierzał – wspomina Anita. – Patrzył na to wszystko i nie mógł uwierzyć. My latamy, chodzimy, a on stoi i patrzy: „To naprawdę się dzieje? To niesamowite!”. On miał inne zadanie: być przy żonie.

– To była siła zespołu i pełne zaangażowanie – podsumowuje doktor Ewa. – Nawet nie do końca ustalaliśmy między sobą, kto co ma zrobić – wszystko poszło intuicyjnie, wielotorowo. Kuchnia, catering, telefony, zespoły... Każdy wiedział, jakie ma zadanie. Myślę, że właśnie to dało parze młodej największe poczucie bezpieczeństwa i opieki.

Tydzień do wieczności

Tamara zmarła kilka dni później.

– Pani Tamara mówiła o tym z taką otwartością – wspomina doktor Ewa. – Że chcą być razem, także po tamtej stronie. Taki dowód na to, że miłość nie zna miejsca, nie zna granic, nie zna czasu. Że wszystko, czym żyjemy, w czym się poruszamy, jeżeli jest bez miłości, nie ma w sobie żadnej wartości. Ta miłość sprawiła, że ci ludzie mogli podjąć taką decyzję, a myśmy mogli zdążyć.

Kiedy personel hospicjum wręczył Sławkowi album ze zdjęć ze ślubu – dar od fotografów – pan młody nie mógł go otworzyć.

– Mówił, że bardzo przeżył tę śmierć – wspomina Anita. – Powiedział: „Nie wiem, kiedy dam radę obejrzeć te zdjęcia. Czy za miesiąc, czy za pół roku, czy za dwa lata”.

– Pani Tamara odchodziła spokojnie, otoczona bliskimi – opowiada Maria. – Mąż był przy niej codziennie, córka też, zawsze ktoś czuwał. Nie była sama. My, wolontariusze, staraliśmy się towarzyszyć w ostatnich chwilach. Chcemy, żeby to ciepło trwało jak najdłużej, żeby czuli, że są kochani, że odchodzą spokojnie, że przechodzą na tamten świat i zobaczą promień słońca, a nie tylko ciemną noc.

Miejsce, gdzie nie ma rzeczy niemożliwych

– Chcieli wziąć ślub, więc zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – mówi krótko doktor Paweł Grabowski, prezes Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza. – To nie jest pierwszy ani ostatni taki moment w hospicjum. Różne uroczystości zdarzają się u nas częściej niż można by się spodziewać. Chcemy pokazać, że tu też mogą odbywać się zwykłe, radosne wydarzenia. Kres życia jest, to prawda, ale samo życie nadal płynie.

Do tego hospicjum pacjenci przychodzą nie tylko umierać.

– Nie wszyscy odchodzą, nie wszyscy umierają – podkreśla Maria z przekonaniem. – Przyjeżdżają na łóżkach, a wychodzą na własnych nogach. Jestem tego świadkiem od samego początku. Przeżyłam niejedną cud naocześnie. Ludzie przyjeżdżali w stanie beznadziejnym, a wychodzili na własnych nogach.

Historia ślubu Tamary i Sławka rozeszła się szerokim echem.

– Ich „tak” zabrzmiało mocniej niż czas i śmierć – podsumowuje doktor Ewa. – Bo prawdziwa miłość nie kończy się nigdy. Tam, gdzie jest miłość, czas przestaje mieć znaczenie. To było wyjątkowe, a nam udało się zdążyć.

MATERIAL INFORMACYJNY PGNIG OBRÓT DETALICZNY, GRUPA ORLEN

0111429311

Czy gaz naprawdę znika z polskich domów? Fakty o zmianach w przepisach i przyszłości ogrzewania gazowego

Do niedawna ogrzewanie gazowe było jednym z najbardziej oczywistych wyborów. Wraz z końcem dotacji na jego montaż w mediach pojawiają się jednak sprzeczne informacje dotyczące przyszłości gazu i tego, czy nadal będzie mógł ogrzewać nasze domy. Jedni mówią, że piece gazowe zostaną zakazane całkowicie, inni, że zakup kotła na gaz to wciąż mądry wybór, bo w końcu to jedno z bardziej wydajnych rozwiązań. Gdzie leży prawda?

Ogrzewanie gazowe to przede wszystkim wygoda. Osoby, które przeszły z pieców węglowych na gazowe, doceniają czystość, automatyzację działania i znacząco niższą emisję dwutlenku węgla oraz pyłów. W kontekście poprawy jakości powietrza w mniejszych miastach i na obszarach podmiejskich każdy wymieniony piec to ogromna zmiana. Dlatego mieszkańcy, z pomocą wsparcia rozmaitych dotacji, chętnie decydowali się na wymianę „kopciuchów” na piece gazowe. Pada jednak pytanie

– jak długo będą mogli z tego ogrzewania korzystać.

Koniec dotacji i nowe przepisy – o co w tym wszystkim chodzi?

Od 2024 roku stopniowo kończą się dopłaty do nowych kotłów gazowych, a do końca 2025 roku mają zniknąć całkowicie. Zgodnie z regulacjami Unii Europejskiej, od 2030 roku w nowo wybudowanych domach nie będzie można montować kotłów działających wyłącznie na gaz lub inne paliwa kopalne. Dla wielu osób brzmi to jak koniec ogrzewania gazowego, ale w rzeczywistości tak nie jest.

Zmiany mają przede wszystkim zachęcić do korzystania z nowocześniejszych, niskoemisyjnych źródeł ciepła. Nie oznacza to jednak zakazu używania gazu do ogrzewania domów. Jeśli masz już kocioł gazowy, spokojnie możesz go dalej używać jeszcze przez wiele lat. Nadal będzie też można wymienić stare urządzenia na nowe, bardziej oszczędne modele.



Plotki o „zakazie gazu” – skąd się wzięły i co jest prawdą?

Mity o „zakazie gazu” biorą się głównie z nagłówków i internetowych dyskusji. W rzeczywistości przepisy unijne nie nakazują likwidacji istniejących instalacji gazowych ani nie zabraniają korzystania z nich w domach. Ci, którzy już mają ogrzewanie gazowe, mogą spokojnie z niego korzystać także w przyszłości. Zgodnie z nowymi przepisami, do końca 2029 roku będzie można

montować kotły gazowe również w nowych, jak i istniejących budynkach. Po tym terminie nadal będzie to możliwe, ale z pewnymi ograniczeniami – w domach modernizowanych bez zmian, a w nowych tylko wtedy, gdy kocioł stanie się częścią systemu hybrydowego, czyli połączenia gazu z odnawialnym źródłem energii, np. pompą ciepła.

To, co jednak najważniejsze dla tych, którzy zastanawiają się nad instalacją ogrzewania gazowego dzisiaj,

to fakt, że nikt nie zakazuje używania zainstalowanych już pieców gazowych nawet po 2025 roku.

Czy nadal warto postawić na ogrzewanie gazowe?

Choć kończą się dotacje, ogrzewanie gazowe wciąż ma wiele zalet. Przede wszystkim jest czystsze niż spalanie węgla czy drewna. Nowoczesne kotły kondensacyjne emitują nawet kilkukrotnie mniej pyłów i tlenków siarki, co realnie przekłada się na lepszą jakość powietrza – zwłaszcza w miastach i na przedmieściach.

Gaz to także wygoda i przewidywalność – użytkownicy nie muszą martwić się o dostawę paliwa, bałagan w kotłowni czy magazynowanie opału. Dodatkowo, wciąż wiele gmin kontynuuje zaplanowane inwestycje w rozwój sieci gazowych, co poprawia dostępność tego źródła ciepła również na terenach podmiejskich.

Hybryda – rozwiązanie na dziś i jutro

Rynek ogrzewania zmierza w stronę rozwiązań hybry-

dowych, łączących różne źródła ciepła – na przykład kocioł gazowy i pompę ciepła, która może być wspierana przez fotowoltaikę.

Takie połączenie pozwala nie tylko zmniejszyć zużycie paliwa, a więc i rachunki, ale także rozwiązanie będzie spełniać wymogi unijne dotyczące niskiemisyjności. Co ważne, po 2030 roku nadal będzie można montować tego typu instalacje – przepisy nie ograniczają hybryd, które łączą gaz z odnawialnymi źródłami energii.

W stronę bardziej zrównoważonego ogrzewania

Zmiana sposobu, w jaki ogrzewamy nasze domy, to proces, który potrwa jeszcze wiele lat. Dla wielu rodzin gaz wciąż jest rozsądnym i bezpiecznym wyborem. Dziś najważniejsze jest świadome podejmowanie decyzji – warto sprawdzić, jakie rozwiązanie najlepiej pasuje do naszego domu i budżetu. Ogrzewanie gazowe nie zniknie, tylko się zmienia. I wciąż ma ważne miejsce w polskich domach.

TOMASZ ZIĘTEK: AKTORSTWO I MUZYKOWANIE WYPŁYWA U MNIE Z JEDNEGO ŹRÓDŁA

Właśnie oglądamy go w głównej roli w serialu „Czarna śmierć”, który emitowany jest w niedzielne wieczory w telewizyjnej Jedynce. W styczniu zobaczymy go z kolei na kinowych ekranach w filmie „Wielka Warszawska”. Jest też piosenkarzem: śpiewa solo i w zespole The Fruitcakes. Nam Tomasz Ziętek opowiada o tym, co sprawia mu większą frajdę – występy na planie czy na scenie

Patryk Gzyl

Masz w swoim dorobku kilka ważnych filmów opartych na autentycznych wydarzeniach. Aktor inaczej podchodzi do roli w takiej produkcji?
Ja lubię tę swobodę, którą daje kreowanie napisanych postaci. Przy bohaterach wzorowanych na autentycznych osobach są pewnego rodzaju obwarowania. Do tego, jeśli są to postaci powszechnie znane, to ludzie mają o nich swoje wyobrażenia i trzeba się z tym konfrontować. Z jednej strony możliwość podejrzenia kogoś prawdziwego i wykreowania roli na podstawie istniejących materiałów jest kusząca, a z drugiej to duże ograniczenie i czasem wręcz pułapka. Bo zamiast skupiać się na scenariuszu, rozpraszamy się, szukając informacji poza nim.

W serialu „Czarna śmierć” grasz reportera Igora Bielika, który próbuje dociec prawdy o epidemii ospy prawdziwej we Wrocławiu w 1963 roku. To postać wzorowana na kimś autentycznym?
Mimo że serial bazuje na prawdziwej historii, to mój bohater jest postacią fikcyjną. Ale może scenarzysta miał kogoś autentycznego na uwadze? Nie wiem. Ja w każdym razie bazowałem tylko na scenariuszu.

Słyszałeś wcześniej o tych wydarzeniach?

Nie. Ale to tylko świadczy o tym, jak ówczesna władza skutecznie zadziałała, że udało się jej takie dramatyczne wydarzenia zamieść pod dywan.

Byłeś zaskoczony, gdy dostałeś scenariusz, że coś takiego się wydarzyło?
Kiedy dostałem propozycję zagrania w „Czarnej śmierci”, zerknąłem do internetu i okazało się, że jest tylko krótki opis w Wikipedii. Ale samo to hasło było na tyle ciekawe, że od razu zdecydowałem się na rozmowę o tym projekcie. To tak jak Amerykanie mają w zwyczaju zacząć produkować swoje filmy – w zarysie scenariusza już pierwsze zdanie musi powodować zaciekawienie, co dalej. Tak było i tutaj.

Są jakieś książki na ten temat?
Tak. Czytałem „Zarazę” Jerzego Ambroziewicza. Na jej bohaterach są wzorowane niektóre postacie naszego serialu. Przynajmniej główna bohaterka – lekarka Alicja Surowiec. Generalnie jednak bazowaliśmy na scenariuszu. Praca przy serialu i filmie to duża różnica. Kręciliśmy te siedem odcinków tak, jakbyśmy kręcili siedem osobnych filmów. Ilość przygotowań i szlifowania różnych rzeczy była momentami wręcz przytłaczająca.

Postać reportera walczącego o prawdę ma długą tradycję w kinie i telewizji. Szukałeś inspiracji w starych filmach czy serialach?

Dla mnie najciekawszą przestrzenią były tu lata 60., ponieważ nigdy wcześniej nie miałem okazji kreować bohatera z tamtej epoki. Igor jest młodą osobą, ale doświadczył czasów wojennych. Dlatego jest jakby uodporniony na ludzkie cierpienie. To było dla mnie najważniejsze pole eksploracji. Przyglądaliśmy się reakcjom Igora w konkretnych okolicznościach. Pokolenie, które przeżyło wojnę, reagowało inaczej niż my dzisiaj na takie tragedie, jak choroba czy utrata bliskiej osoby.

Po raz kolejny grasz postać z czasów peerelu. Poznałeś już pewnie dogłębnie tamtą epokę. Jakie masz zdanie o ówczesnej Polsce?
Teraz odkrywamy kolejne karty tamtych historii. Zobacz, ile powstaje seriali osadzonych w czasach peerelu. Powoli wiele rzeczy wychodzi więc na wierzch. Oczywiście jest też w naszym serialu pewien rodzaj stylizacji. To była decyzja reżysera, żeby tak to pokazać. Najbardziej uderzające było dla mnie zestawienie tego, co działo się w latach 60. na świecie z tym, co działo się tutaj, w Polsce. Ten kon-

trast wiele mówi o tamtej epoce.

Dziennikarze nie mieli lekiego życia za czasów PRL-u. Dla młodego widza będzie to zrozumiałe?

Cała ta opowieść jest tak zaserwowana, że trafi do młodych widzów. Mamy tu ciekawą historię, wyraziste postacie, wartką akcję. Taki też był zamysł producentów, żeby to było pokazane w takiej atrakcyjnej formie.

Trudno dzisiaj uwierzyć, że władze komunistyczne starały się ukryć prawdę o epidemii. Z czego to wynikało?

Myślę, że było wiele czynników. Partyjni władarze bali się przede wszystkim, że ich zwierzchnicy z Warszawy zarzucą im złe gospodarowanie i nieumiejętność poradenia sobie z takim kryzysem. W efekcie ktoś mógłby po prostu za to polecić. Rozgrywki polityczne są paliwem takich sytuacji, jak epidemie.

„Czarną śmierć” można odnieść do współczesności. Grając w serialu, przypominały ci się sytuacje sprzed 5 lat z okresu pandemii?

Oczywiście. Dlatego serial ma uniwersalny wymiar – współczesny widz bez problemu zrozumie to, co działo się we Wrocławiu w 1963 roku. Kiedy

Polska
Poniedziałek, 17.11.2025

chodziliśmy na planie w maseczkach, kojarzyło się to wszystkim w jednoznaczny sposób. Co ciekawe, pracując nad filmami, nadal trochę jeszcze tkwimy w tamtej rzeczywistości. Do dzisiaj zdarza się na planach, że wykonuje się testy na covid. Ostatnio we wrześniu były jakieś zachorowania i wróciły poranne testy.

Ty akurat dużo pracowałeś w pandemii, bo kręciłeś „Żeby nie było śladów” i „Hiacynta”.
Zdjęcia do „Żeby nie było śladów” przesunęły się przez lockdown prawie o pół roku. Kiedy tylko w wakacje poluzowano obostrzenia, od razu wskoczyliśmy na plan. Zaraz potem kręciliśmy „Hiacynta”, w efekcie czego te filmy się niestety zderzyły. No ale tak czasem bywa. Pamiętam, że mieliśmy próby w maseczkach, co było nieco absurdalne, bo potem graliśmy bez nich. (śmiech)

Chorowałeś?

Tak. To było nieuniknione.

Serial to też głos w sprawie szczepionek. Z roku na rok nasila się ruch antyszczepionkowy. Z czego to wynika?

To dla mnie niezrozumiałe. Osobiście się z tym nie zetknąłem, ale jestem świadomy, że jest takie zjawisko. Myślę, że to ma związek z generalną tendencją na całym świecie do podważania wszelkich autorytetów. Z tym to jest związane.

Niebawem zobaczymy Cię też na dużym ekranie w „Wielkiej Warszawskiej”, gdzie wcielasz się w dżokeja biorącego udział w wyścigach konnych na Służewcu. To było ciekawe wyzwanie?

Tak. To było wyjątkowe wyzwanie pod wieloma względami, chociażby dlatego, że wcześniej nigdy nie jeździłem konno. Praca czasem daje mi taką sposobność, by nabyć jakąś nową umiejętność – nie tylko wejścia w jakiś świat, ale też namacalnego jego spróbowania. Tutaj właśnie tak było.

I jak Ci poszło?

Na początku z przerażeniem patrzyłem na konie. W końcu to duże zwierzęta, czekało mnie więc sporo pracy. Miałem jednak dużo czasu, bo zanim wszedłem na plan, przygotowywałem się prawie pół roku. Uczylem się jazdy – jeździłem rekreacyjnie w stajni oraz chodziłem na zajęcia fizyczne, trenażery i treningi z prawdziwymi dżokejami. Uczestniczyłem w ich szkoleniach.

Polubiłeś jazdę na koniu?

Bardzo. Teraz przez kolejne zlecenia zawodowe nie mogę się za bardzo udzielać konno. Mam jednak wrażenie, że to ze

mną zostanie. To tak samo jak z robieniem zdjęć klasycznym aparatem fotograficznym, które zostało mi po „Czarnej śmierci”. Dzięki temu serialowi nauczyłem się obsługi analogowego aparatu i wywoływania zdjęć na potrzeby scen, które realizowaliśmy. I zostało to ze mną do teraz. Bardzo lubię analogową fotografię.

Ponoć producentka „Wielkiej Warszawskiej” od początku widziała Cię w roli Krzysztofa. To ze względu na to, że fizycznie pasujesz na dżokeja?

No tak: niski i chudy. (śmiech)
To prawda – zgadzało się. Pamiętam naszą rozmowę przy okazji gdyńskiego festiwalu. Tam pojawił się ten temat i propozycja zagrania tej roli. No i przyznam szczerze, że od razu wydała mi się to wyjątkowa okazja. Zazwyczaj szuka się do danej roli aktora, który ma do jej zagrania jakieś konkretne inklinacje. Tymczasem moja styczność z koniem była wcześniej zerowa. (śmiech) Dostałem więc duży kredyt zaufania ze strony producentów, ale mam nadzieję, że go nie zawiodłem.

Jakie jest środowisko dżokejów w Polsce?

Ja uczestniczyłem w treningach uczniów, którzy przygotowują się do roli dżokeja. I co ciekawe, okazało się, że to świat zdominowany przez dziewczyny.

Dlatego, że są lekkie?

Też. Ale przede wszystkim dziewczyny są bardziej zainteresowane jazdą konną, nawet w sensie rekreacyjnym.

Dobrze się zarabia w tym zawodzie?

Kiedy ktoś wygrywa, to pewnie tak. Najpierw trzeba mieć na czym pojechać, czyli mieć dosiad. Właściciel konia musi zapłacić wpisowe za jego udział w wyścigu, musi więc wierzyć, że mu się to w jakiś sposób przynajmniej zwróci. Zyski są natomiast zależne od rangi danego toru i wyścigu. Spośród wszystkich uczestników tego wyścigowego proceduru dżokeje biorą w nim udział jednak przede wszystkim z pasji, a nie z pobudek finansowych.

Pomógł Ci ponoć brat Wojtek – trener personalny. Na czym to polegało?

Wojtek przygotował mi plan treningowy, który miał mi pomóc w realizowaniu scen z dosiadem sportowym. To specyficzny sposób jazdy na koniu, w którym jeździec unosi się na nogach w strzemionach nad siodłem. Chodziło tu o to, aby fizycznie wytrzymać czas realizacji zdjęć.

To było dla Ciebie najtrudniejsze?



FOT. WOJCIECH WĘGRZYNTYP

Tomasz Ziętek: Serial „Czarna śmierć” ma uniwersalny wymiar – współczesny widz bez problemu zrozumie to, co działo się we Wrocławiu w 1963 roku. Kiedy chodziliśmy na planie w maseczkach, kojarzyło się to wszystkim w jednoznaczny sposób

To generalnie była bardzo satysfakcjonująca praca. Oczywiście fizycznie drenująca, ale teraz, jak się z perspektywy czasu na to patrzy, postrzegam ją jako superprzygodę. Najtrudniejsze było wymyślenie, jak pokazać sceny wyścigu, bo kamera i konie to nie jest oczywiste połączenie. Co ciekawe, nie mieliśmy możliwości jeździć po tym torze, na którym odbywają się normalnie wyścigi. Udawaliśmy tylko, że jeździmy po nim, a robiliśmy to obok toru. Magia kina sprawia jednak, że to wszystko się składa. Nie wspominając o tym, że przez cały okres zdjęciowy kręciliśmy prawdziwe wyścigi, które trafiły potem do filmu, stanowiąc spójną całość z tymi udawanymi scenami.

Tym razem rzecz się dzieje na początku lat 90. To Twoje dzieciństwo. Wtedy rodził się polski kapitalizm. Jak Ci się kojarzy ta epoka?

Patrzę dziś na tamten czas z nostalgią. W „Wielkiej Warszawskiej” musieliśmy tę epokę odtworzyć, bo stolica bardzo się zmieniła od tamtych czasów. A to okazało się niełatwe - trzeba było nadać budynkom czy samochodom ten charakterystyczny rodzaj patyny, jakie miały lata 90., nie mówiąc już o specjalnych kostiumach. Wejście potem w ten świat było bardzo ciekawe.

„Wielka Warszawska” to pod względem rozmachu jedna z największych produkcji zrealizowanych ostatnio w Polsce. Odczuwało się to na planie?

Na pewno pod względem ilości koni w filmie jesteśmy nie do pobicia. Mam nadzieję, że to przełoży się na odbiór „Wielkiej Warszawskiej” w kinach. Mnie jako aktorowi ciężko się do tego ustosunkowywać, bo ja patrzę na film inaczej niż zwykły widz. Ponieważ pracowałem na jego planie, kiedy idę do kina, to mam wrażenie, że oglądam jakiś pamiętnik z wakacji. Widzę, gdzie danego dnia kręciliśmy, które sceny trzeba było dublować i ile razy. Tego rodzaju historii. Nie widzę tej impresji, którą odbiera zwykły widz.

„Wielka Warszawska” dopełnia trylogię scenarzysty Jana Purzyckiego, którą tworzą „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”. Co je łączy?

Kluczem do tych wszystkich filmów jest przekręt. Na poziomie fabularnym nie ma żadnych wspólnych elementów w rodzaju powracających bohaterów czy tych samych miejsc akcji. Jan Purzycki chciał nakręcić „Wielką Warszawską” jeszcze w latach 80., ale komunistyczne władze się nie zgodziły, bo nie chciały pokazać ciemnej strony wyścigów na Szulzewcu.

No właśnie: Twój bohater to dżokej, który musi skonfrontować swoje marzenia z brudnymi realiami wyścigów konnych. Naprawdę tak wygląda polski sport od podszewki?

Z tego, co wiem, wszystko się bardzo zmieniło od lat 90., jeśli chodzi o wyścigi konne. Dzisiaj komputery sprawiają, że organizatorzy mają niewyobrażalnie większe możliwości weryfikacji wielu rzeczy. W tamtych czasach tego nie było, co pozostawało na różne przekręty. Teraz gra się rozgrywa na innych poziomach niż kiedyś.

Obecnie masz dwie duże produkcje: „Czarna śmierć” i „Wielka Warszawska”. Ale w minionych trzech latach bardziej skupiałeś się na śpiewaniu niż aktorstwie. Z czego to wynikało?

Chciałem wydać solową płytę i pojechać w trasę koncertową. Teraz pracuję nad drugim albumem. Instrumenty są już zarejestrowane, czeka mnie jeszcze nagranie wokali. Może uda się to skończyć w tym roku. Praca na filmowym planie trochę utrudnia jednak te działania, jestem bowiem w trakcie zdjęć do nowego projektu do stycznia.

Znaliśmy Cię do tej pory z zespołu The Fruitcakes. Co Cię skłoniło, aby rozpocząć solową działalność?

W ciągu ostatnich lat nabierałem do szuflady sporo pomysłów, które nie pasowały

do The Fruitcakes i chciałem się z nich po prostu odkorkować. Przez to, że gdzieś tam one leżały, czułem, że nie mogę pójść dalej, dopóki nie ujrzą światła dziennego. Cały czas komponuję i piszę nowe piosenki, więc naturalne jest, iż chcę, aby docierały do słuchaczy. Teraz kończę drugą płytę, a komponuję już rzeczy na kolejną. Jestem więc myślami dalej. Ale ten proces trzeba doprowadzić do końca, a tym końcem jest moment oddania płyty w ręce słuchaczy. Stawiam sobie deadline na przyszły rok i mam nadzieję, że się uda.

Wolisz działać solo niż w zespole?

Z racji moich aktorskich obowiązków jest mi łatwiej działać solo niż z zespołem, tym bardziej że nasz perkusista jest Szwajcarem i tam robi karierę ze swą nową grupą. Ostatnio był nawet z koncertami w Polsce. W The Fruitcakes jesteśmy wszyscy czterej kompozytorami, tworzenie repertuaru jest więc nieco bardziej skomplikowane. Na pewno wrócimy jeszcze z jedną płytą, bo trwają nad nią prace. Ale to w swoim czasie. Moje piosenki nie mieszczą się w formule The Fruitcakes, więc śpiewam je sam.

Słychać w nich mocne echa folku i country, a to przecież amerykańskie brzmienia. Co Cię ciągnie za Atlantyki?

Nie kategoryzowałbym tego geograficznie. Wydaje mi się, że to tylko kwestia użytego instrumentarium. Gitara akustyczna tak mocno się kojarzy. Na pewno jest to wypadkowa tego, co sam słucham - ostatnio to głównie amerykański zespół Wilco i jego frontman Jeff Tweedy. To moje najważniejsze inspiracje. Chociaż teraz, żeby się wesprzeć na duchu w czasie realizacji filmu, słucham starych hitów. Bo dobre nastawienie to połowa sukcesu. A obecnie pogoda jest straszna, do tego dużo kręcimy w nocy, nie jest więc lekko. Muzyka daje mi jakże potrzebny promyk słońca.

W Twoich piosenkach jest dużo nostalgii. Skąd się ona bierze?

Gdybym wiedział, to pewnie bym nie pisał piosenek. (śmiech) Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ja tak sobie to diagnozuję, że to potrzeba tworzenia, która znajduje różne sposoby ujścia. Po części w postaci kreacji aktorskich, a po części w piosenkach, w tekstach. Dla mnie to wszystko wypływa z jednego źródła. Ale gdzie ono jest? Nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie. Zaletą pracy solowej nad muzyką jest to, że większość rzeczy robię sam, dlatego mam większy wpływ na tę wypowiedź. Praca w filmie ma bardzo zbiorowy charakter. Na moją kreację aktorską składa się charakterystyka

cja, kostium, oświetlenie, pokazanie tego w obrazie. Dlatego czuję, że w obszarze muzycznym mam większą sprawczość. W efekcie jestem inaczej spełniony.

A co Ci przynosi więcej radości?

Nie wiem. Bo kiedy robię jedno, to tęsknię za drugim. I na odwrót. To taki odwieczny dylemat. (śmiech)

Masz za sobą koncerty solowe. Jesteś zadowolony z tej trasy?

Tak. Cieszę się bardzo, że mogłem podczas tych występów zaprezentować piosenki już z tej mojej drugiej płyty. Dzięki temu mogłem energetycznie odbić się od reakcji ludzi na te numery, co miało wyraźny wpływ na ich ostateczny kształt. To były zawsze miłe spotkania w całej Polsce i od razu okazja do wielu prywatnych odwiedzin. Mam nadzieję, że w przyszłym roku znów uda mi się wygospodarować czas na taką trasę. Zobaczymy, jak to się potoczy.

Na Twoich koncertach dominują dziewczyny. To ze względu na Twoją aktorską popularność?

W dużej mierze pewnie tak. Ale wydaje mi się, że nie tylko. Miałem okazję spotkać się po tych koncertach z kilkoma ojcami, którzy przyszedli ze swoimi córkami i byli bardzo zadowoleni, że słuchają one czegoś, czego i oni z przyjemnością mogą posłuchać. (śmiech) Czyli trafiam jednak i do facetów.

Sam jesteś od ponad roku ojcem. Jak się odnajdujesz w tej roli?

To zdecydowanie moja najważniejsza rola w życiu. Ale to praca w innej lidze.

Wdrożyłeś się już w opiekę nad maluchem?

Co chwilę są jakieś nowe wyzwania, więc chyba nie da się tak wdrożyć totalnie raz a dobrze. Ale to zawsze ciekawe zajęcie i cudowny czas, choć operuje się w zupełnie innej gęstości materii życia.

Jakim jesteś ojcem?

Na pewno jestem ojcem pracującym, ale zawsze staram się jakoś rekompensować synowi swoją nieobecność. Co ciekawe: syn miał okazję być już ze mną na kilku planach, choćby przy wspomnianej „Wielkiej Warszawskiej”. Oglądał konie w stajni. (śmiech)

To pewnie wyrośnie z niego kolejny aktor.

Zobaczymy, jeszcze do tego dużo czasu. Jak na razie cieszę się, że w „Czarnej śmierci” po raz pierwszy w karierze mogłem zagrać ojca. Mam tam kilkuletnią córkę, mogłem więc czerpać na planie z prywatnych doświadczeń, a nie tylko z wyobraźni.

TAK PAN BABCIA WARZY

Nie potrzebuje modnej kuchni ani telewizyjnego studia, by zdobywać miliony wyświetleń. Michał Froehlich z Rybnika-Ochojca, znany w sieci jako Pan Babcia udowodnił, że prawdziwy smak i autentyczność bronią się same. Zwłaszcza gdy w garnku pyrka rolada z kluskami i modrą kapustą. Jego filmy o śląskim gotowaniu podbijają internet

Ireneusz Stajer

Michał Froehlich, 23-latek z Rybnika-Ochojca, w starej klimatycznej kuchni gotuje śląskie potrawy. Często to, co robi, nagrywa jego kuzyn Maciej Molenda i filmiki trafiają na TikToka oraz Facebooka. Gotowanie ze śląskim komentarzem nie jest sztuką dla sztuki, bo jak mówi Michał, wszystkie potrawy są zjadane.

- Przez rodzinę, przyjaciół, znajomych. Zakładam fartuch i gotuję na nasze potrzeby, choć czasem trzeba uwarzyć coś na zewnątrz - np. upiec babkę czy kołocz. Posiłki spożywamy na ogół w mojej kuchni - mówi Michał Froehlich, któremu internauci nadali ksywę Pan Babcia. Często ludzie zaczepiają go na ulicy, mówiąc do Michała: „O, Pan Babcia!”. Ten uśmiecha się serdecznie i z każdym porozmawia.

Tak bardzo spodobała mu się ta nazwa, że w internecie gotuje teraz właśnie pod tym pseudonimem. Ma wielu fanów, którzy nie wyobrażają sobie tygodnia bez spotkania z Michałem w sieci. Jego przepisy robią furorę, bo potrawy są naprawdę smaczne, co podkreślają internauci.

„W Rybniku-Ochojcu jest najpiękniej”

Michał Froehlich urodził się w Rybniku i od początku mieszka w dzielnicy Ochojec. W miejsku szczególnie pięknym, zalesionym, wypełnionym śpiewem ptaków, przypominającym „dawne, dobre czasy”, jak zaznacza Pan Babcia. Pomimo szumu medialnego wokół jego osoby, nigdzie nie chce się wyprowadzać, bo w Ochojcu jest najpiękniej.

- Nie dla mnie jest życie światowe. Cenię sobie spokój i tradycję oraz moją starą kuchnię, którą odtworzyłem własnym wysiłkiem - oznajmia rybniczanie.

Pomieszczenie powstało w zaadaptowanych pod stary dom garażach. W budynku jest kuchnia i tzw. trzecia izba, czyli pokój gościnny. Drugą izbą w tradycyjnym śląskim domu zwano laubę. Michał Froehlich od zawsze chciał mieć taki dom, wyposażony w stare sprzęty.

- Nie podoba mi się nowy styl. Nie czułbym się dobrze



Michał Froehlich jest już gwiazdą internetu, ale i skromnym młodym człowiekiem z wielką, śląską pasją

w takim budynku. Kupiłem sobie więc stare meble z byfym (kredensem kuchennym - red.) na czele. I jestem zadowolony. Spełniłem swoje marzenia. Udało mi się zachować w swoim domu dawny świat i w takim sobie żyję - wyjaśnia Michał Froehlich.

Talent do gotowania ma niewątpliwie po babciach. Jako dziecko głęboko oddychał klimatem i zapachami śląskiej kuchni. Przesiąkł nimi - w przenośni i dosłownie, to jego żywioł.

- W domu panowała rodzinna, serdeczna atmosfera. Czułem się tam bezpiecznie. Uważam, że ludzie na Śląsku tęsknią za starą kuchnią, gdzie wiele się działo. Mówią, że byli wtedy szczęśliwsi. Lepiej, jak człowiek jest szczęśliwy niż zagoniony za wieloma sprawami doczesnego żywota. Niemający na nic czasu. Nasze babcie, dziadkowie zawsze mieli czas na spotkanie, rozmowę - stwierdza Michał.

Jak dodaje, dawne pokolenia niemal wszystko robiły same. Ludzie na wsi mało co kupowali w sklepach. W ogrodzie i sadzie rosły warzywa i owoce. Po placu biegał drób, w chływiku rządziły świnię, a mleko dawały krowy.

- To było naprawdę fajne. Bo przecież najważniejsze są relacje jednego człowieka do drugiego. Niech każdy będzie traktowany tak, jak chciałby być traktowany - podkreśla Michał, wnuk babć Haliny i Gertrudy.

To one oraz siostra jednej z babć (ciocia Aneczka) nauczyły Michała najwięcej. Nauczył się od nich warzynio (gotowania - red.) przede wszystkim najważniejszej śląskiej potrawy - rolady z kluskami i modrom kapustą. Potrafi wypiekać kołocz śląski, przygotować szpajzę (tradycyjny deser na Górnym Śląsku, podawany po obiedzie podczas ważnych uroczystości rodzinnych - red.) czy kopę (deser w kształcie półkuli pokrytej bitą śmietaną z symetrycznie ułożoną dekoracją z ananasa, posypaną wiórkami gorzkiej czekolady - red.).

Przed wszystkim konopiotka

Michał Froehlich myśli już o świętach Bożego Narodzenia. W menu na śląskim wigilijnym stole nie może zabraknąć moczki i makówki. Pan Babcia dodaje do tych dwóch sztandarowych słodkich łakoci - konopiotkę. Bez tej zupy nie wyobraża sobie świętowania.

Do wigilijnej wieszki rozpoczęcie przygotowania już z początkiem grudnia.

- Jako pierwsza powstanie konopiotka, bo dostałem już zaproszenia od różnych organizacji, żeby pokazać, jak się robi tę zupę. Konopiotkę będą przygotowywać na warsztatach świątecznych. Niestety, zupa ta wymiera. Mało kto już ją gotuje, więc o konopiotce trzeba mówić, by ta tradycyjna śląska potrawa całkowicie nie straciła się z naszych stołów - wskazuje Michał i przypomina, że do konopiotki niezbędne są konopie siewne.

Ich ziarna gotuje się długo w wodzie; około dwie - trzy godziny. Jak popękają, wyciąga się je z wody na deskę i rozgniatą nudelkulą, czyli wałkiem. Z ziaren trzeba bowiem wypłukać całe mleczko. Do ziaren dodaje się mleko, cebulę, ziele angielskie, listek laurowy i całość zagęszcza się kaszą manną. Potrawę można podawać z ryżem lub kaszą.

- Młodzi w ogóle nie chcą jeść konopiotki, bo im nie smakuje. Konopiotka ma słodkogorzki smak. Młodzi lubi też inne rzeczy, bo w sklepach jest mnóstwo różnych dobroci. Nasze babcie i dziadkowie nie mieli takich możliwości. Konopiotkę uważali za pyszną po-

trawę - tłumaczy Michał Froehlich.

Na Boże Narodzenie na stole Pana Babci nie może zabraknąć także karpia smażonego na maśle klarowanym. Masło klarowane to bodaj jedyna nowinka, którą Michał stosuje w swojej kuchni. Kiedyś, jak nie było jeszcze masła klarowanego, karpia smażyło się na oleju, margarynie, ceresie czy tłuszczu oma.

- Nie warto utrudniać sobie w kuchni życia. Jak coś nowego jest lepsze, tak jak masło klarowane, śmiało można wykorzystać go do smażenia ryb - twierdzi rybniczanie.

Karpia szykowano dzień przed konsumpcją. Rybę obsypywano Jarzynką (dziś Kucharek), kroilo się cebulę „na piórka”, dodawało cytrynę i całość umieszczano w misce. Karpia pieczono w panierce, składającej się z mąki, jajka i tartej bułki. Smażono go na oleju, zawsze na piecu węglowym.

- Ryba bądź inne mięso smażone na blasze smakuje lepiej niż przygotowane na gazie czy indukcji. Tęgo smaku nie da się porównać, wszystko z węglowego pieca jest o wiele lepsze. Rosół np. stojący na rozgrzanej blasze powoli wrze, osiągając znakomity smak - zapewnia rybniczanie.

Powtarza, że sercem dawnej kuchni jest piec kaflowy, na którym można było przygotować jedzenie i nagrzać w izbie.

- Przy tym piecu siedziało się na ryczkach, jak oma (babcia - red.) kulała kluski, to się je podkradało, kładło na blasze i były z tego pyszne placuszki. To samo działo się z ciastem na makaron. Jak jesienią wiało i w piecu gwizdało, babcia go dała, „dejcje pozor, bo w piecu śpiewają duszyczki” - opowiada Michał Froehlich.

Nie wyobraża sobie, żeby w jego domu nie było pieca kaflowego. Bez tego urządzenia chałupa byłaby bez duszy, serca.

Jak tapicer dekorator został kucharzem

Michał Froehlich z wykształcenia jest tapicerem - dekoratorem. Taki też zawód wykonywał jego ojciec, który przekonał syna do nauki tapicerstwa. Michał tymczasem od małego lubił gotować, ale nie wybrał szkoły kucharskiej, bo zdecydował argument, że jako kucharz musiałby pracować w święta i weekendy. Tapicerstwo nie podobało mu się jednak, więc i tak trafił do kuchni. Aktualnie nie pracuje na etacie, bo zajęć związanym z prowadzeniem profili w mediach społecznościowych czy organizacją warsztatów było już tak duże, że nie mógł pogodzić tego z zatrudnieniem w firmie. Myśli natomiast o otwarciu własnej restauracji.

Michał Froehlich mówi, że jego strój to nie przebieranka, lecz naturalna kolej rzeczy. Nie miał zamysłu, by swoim wyglądem wywoływać sensację w internecie. Po prostu zakłada fartuch, tak jak jego babcia, by się nie pobrudzić przy robocie w kuchni. I to cała prawda o wyglądzie Pana Babci.

Póki co jest kawalerem.

- Może w przyszłości, jak poznam jakoś fajno dziołcha, to się z nim ożynia. Bydymy mieli dzieci, które dobrze wychowamy. W kulturze śląskiej, w szacunku do tradycji - podsumowuje Michał Froehlich.

Nie znają Państwo jeszcze Pana Babci? Zajrzyjcie nie tylko na jego profil w mediach społecznościowych.

MOTO
BOHATEROWIE
OTOMOTO



CAROLINA
CAR COMPANY

TOYOTAWOLA.OTOMOTO.PL

CAROLINA CAR COMPANY

**JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH GRUP DEALERSKICH W POLSCE,
Z PONAD 30-LETNIM DOŚWIADCZENIEM W SPRZEDAŻY
I SERWISIE SAMOCHODÓW MARKI TOYOTA.**

*Posiada sześć nowoczesnych salonów
– w Warszawie, Ostrołęce i Bielsku-Białej.*

*Oferuje kompleksową opiekę posprzedażową
oraz innowacyjne rozwiązania dla klientów indywidualnych
i flotowych. Firma łączy tradycję z nowoczesnością,
stawiając na jakość, profesjonalizm i rozwój.*

MAŁOPOLSKIE EKOWĘDRÓWKI

Marta Dymek, licencjonowana przewodniczka i lokalna aktywistka, od kilku lat pokazuje Małopolskę z zupełnie innej perspektywy: przez smak chleba wypiekanego w rodzinnej piekarni w Lanckoronie, zapach ziół rosnących na łąkach nowohuckich czy degustacje w zaprzyjaźnionych winnicach w Janowicach koło Zakliczyna. Uczy, że „doświadczyć” znaczy więcej, niż „zobaczyć”, a prawdziwa podróż to spotkanie z człowiekiem, miejscem i samym sobą

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Turystyka była w jej życiu od zawsze. - Jestem taką lokalną patriotką - mówi. - Dla mnie myślenie o turystyce w Polsce zawsze zaczynało się od Małopolski i Krakowa. To jedno serce, którego nie sposób rozdzielać.

Z miłości do regionu zrodził się pomysł na Małopolskie EkoWędrówki - projekt, który zachęca do podróżowania wolniej, uważniej i z większym szacunkiem dla ludzi oraz natury. Ekowędrówki to coś więcej niż standardowe wycieczki. To podróże w rytmie słów, które pozwalają poczuć prawdziwą atmosferę miejsc, poznać lokalne tradycje i odkryć smaki Małopolski.

Z ekologicznej perspektywy

Projekt ma też wymiar edukacyjny i ekologiczny. Pokazuje, jak podróżować z szacunkiem dla przyrody, wybierając trasy przyjazne środowisku i obserwując naturę bez ingerencji. Dzięki kameralnym grupom i spokojnemu rytmowi każdy może naprawdę odpocząć, skupić się na detalach i doświadczyć regionu na własnej skórze. - Dla mnie podróż to zawsze spotkanie - z miejscem, ludźmi i samym sobą. To właśnie chcę przekazać uczestnikom moich ekowędrówek - podkreśla Marta. I dodaje: - Przywiązuje ogromną wagę do lokalnych produktów. Część z nich trafiła nawet na listę produktów chronionych. Ale dla mnie to nie tylko certyfikat, to opowieść o ludziach, którzy coś robią z sercem.

Uczestnicy ekowędrówek odkrywają, że Małopolska to nie tylko oscypek i obwarzanek. To również małe gospodarstwa, rodzinne przetwórnice, rękodzieło, którego nie znajdziemy w sklepie. Wspieranie lokalnych społeczności to ważny element całego projektu. W ekowędrówkach łączy się ekoturystyka, edukacja i działanie w rytmie natury.

Jednak Marta Dymek początkowo nie była pewna, czy pomysł chwyci. - Zastanawiałam się, czy ludziom spodoba się wizyta w rodzinnej tradycyjnej suszarni śliw w Dobrocieszu czy wyjazd do Łososiny Dolnej na kwitnienie jabłoni do gościnnego sadu państwa Pawłowskich - mówi. - Myślałam, że może to zbyt niszowe. A jednak okazało się, że ludzie chcą zobaczyć, jak powstaje sok, który później kupują np. na Targu Pietruszkowym.

Z czasem projekt zaczął się rozrastać. Do ekowędrówek dołączyły „zielone spacerki” po Krakowie, realizowane we współpracy z Krakowskim Centrum Edukacji Klimatycznej. To propozycje, które pokazują miasto z zupełnie innej perspektywy - ekologicznej i uważnej.



Zielony spacer po Młynówce

FOT. ARCHIWUM

Rozwinęły się także enowędrówki, czyli odkrywanie małopolskich winnic, degustacje i spotkania z winiarzami, którzy tworzą wino z pasją. - Winiarstwo w Małopolsce odradza się w niesamowity sposób. Chciałam pokazać, jaka to praca, ile serca w to wkładają ludzie.

Uczestnicy wracają zachwyceni. - Zawsze słyszę: Nie mieliśmy pojęcia, że takie miejsca istnieją! I że gospodarze, których spotkaliśmy, są niesamowici. A kiedy uczestnicy widzą, ile pracy i pasji trzeba włożyć w stworzenie czegoś autentycznego, zaczynają to bardziej doceniać. Nawet jeśli produkt kosztuje więcej niż sklepowy odpowiednik.

Spotkanie i szacunek

A czy można wyruszyć na ekowędrówkę późną jesienią czy zimą, kiedy pogoda nie zachęca do spacerów? - W tych miesiącach trochę się „zakupujemy pod jesienne liście” - śmieje się Marta Dymek. - Nie organizuję kuligów, bo nie chcę wykorzystywać zwierząt jako atrakcji. Miesiące zimowe to czas przygotowań do nowego sezonu. Wtedy planuję trasy, odwiedzam miejsca, sprawdzam, czy faktycznie oddają ducha regionu i wpisują się w ideę ekoturystyki.

Zimą ekowędrówki zwalniają, ale nie znikają. - W tym roku może pojedziemy do manufaktury ozdób i pamiątek szklanych „Bombek” w Wieliczce. W planach są także warsztaty z przygotowania zimowych naparów oraz degustacja małopolskich grzańców. Organizuję też spacerki po Krakowie, póki pogoda na to pozwala. Marzy mi się również, żeby odwiedzić Podhale. Tam też jest wiele pięknych, mniej znanych miejsc, jak Czerwony Dwór czy Tradycja - Dom Regionalny w Chochołowie.



Marta Dymek pokazuje inną Małopolskę

MAT. ARCHIWUM

Dwa lata temu Marta miała okazję uczestniczyć w study tour przygotowanym przez Ekodziejziny Muzeum Dunajca - sieć obiektów tworzących ofertę turystyczną Pienin, Spiszu i Podhala. To miejsce, które pokazuje, jak pięknie można połączyć ludzi i naturę. - Ci ludzie mają pasję, chcą pokazać swój region. To esencja ekoturystyki: człowiek, doświadczenie i poszanowanie natury. Planuję, aby jedną z ekowędrówek w kolejnym roku zorganizować właśnie w gościnnych progach Ekodziejzin - dodaje Marta.

Podróż w rytmie słów

W ostatnich latach ludzie coraz częściej szukają spokoju, autentyczności, relacji. W Małopolsce wpisują się w ten trend trzy kampanie: „Małopolska w rytmie eko”, „Małopolska naturalnie” i „Małopolska - zasmakuj w podróży”. Zachęcają do odkrywania regionu, spotykania ludzi, którzy z otwartością dzielą się tym, co mają najpiękniejsze. To powrót do idei podróży jako przeżycia, nie jako listy atrakcji do zaliczenia. Jednak jak przekonać turystów, by poza Wawelem i Sukiennicami, odkryli Małopolskę mniej znaną, ale równie fascynującą? - Myślę, że kluczem jest pokazanie ludziom tego, co naprawdę ma znaczenie - mówi Marta. - Często prowadzę turystów z Włoch i wtedy mogę im pokazać coś, czego w przewodnikach nie znajdują. Pewnego razu włoscy goście zapytali, gdzie w Krakowie można poczuć prawdziwy smak regionu. Zaproponowałam wycieczkę do Ojcowskiego Parku Narodowego. Tam czekał świeży pstrąg, domowy chleb, kieliszek lokalnego wina, a na deser spacer wśród ciszy i zieleni. Byli zachwyceni - wspomina Marta.

Na co dzień Marta mieszka w Nowej Hucie i tam też stara się odkrywać „nieoczywistą” Małopolskę. Współpracuje z radnymi i aktywistami i udowadnia, że Nowa Huta to nie tylko kombinat. A nieoczywisty Kraków? Jest wspaniały, wystarczy tylko zejść z utartego szlaku. - W Krakowie mamy... pasieki miejskie, na przykład przy ulicy Królewskiej. Byliśmy tam z grupą na degustacji miodu. To samo centrum miasta, a tuż za rogiem są pszczoły i kwiaty. Warto pokazać coś poza sztafą, bo prawdziwe piękno miasta zaczyna się tam, gdzie kończy się przewodnik.

Podczas letnich spacerów po Lesie Witkowskim wielu uczestników nie mogło uwierzyć, że taki zakątek istnieje w granicach Krakowa. Podobnie było w Łasku Mogiłskim. A przecież to miejsca, które żyją, tętnią naturą. Jesienią uczestnicy ekowędrówek spacerują po Salwatorze i Parku Willa Decjusza - o każdej porze roku malowniczych, ale jesienią wyjątkowo urokliwych. Podczas wypraw nie chodzi tylko o spacer. To spotkanie z przyrodą i samym sobą.

- Na spacerze w Parku Lotników w Czyżymach pokazuję miejsca przygotowane do karmienia ptaków. A wzdłuż Młynówki robimy ćwiczenie: proszę wszystkich, żeby odłożyli telefony. Zatrzymujemy się i słuchamy szumu drzew, śpiewu ptaków, własnego oddechu. Tak mało mamy takich chwil na co dzień. W planach wiosennych mamy powrót do jogi w parkach miejskich, a także realizację sesji kąpieli leśnych w małopolskich lasach z „Twoje okno na spokój”. Panią Monikę, certyfikowaną nauczycielkę terapii leśnej, poznałam podczas jednego z zielonych spacerów - opowiada Marta.

Setki powodów, by wracać

Gdy pytam, które miejsce w Małopolsce poleciłaby komuś, kto chce się w regionie zakochać, śmieje się:

- Nie da się polecić jednego! Każdy podregion jest inny, wyjątkowy.

Wymienia dolinki podkrakowskie: Dolinę Kluczwody i Dolinę Raclawki. Zachwyca ją Sądecczyzna, z jej górskim klimatem, okolice Tamowa z pięknymi winnicami i region Jeziora Czorsztyńskiego.

- Chciałabym jeszcze odkryć Beskid Niski - dodaje. - Czuję, że tam drzemie autentyczność i lokalność, której dziś coraz mniej. Nie zapominamy także o lokalnych festiwalach, rzemiośle i atrakcjach przyjaznych dzieciom i całemu rodzinom. Chciałabym, aby w przyszłym roku było więcej ekowędrówek dla mniejszych odkrywców - dodaje Marta.

Te małe odkrycia sprawiają, że do Małopolski chce się wracać. Zawsze inaczej, z ciekawością i sercem otwartym na nowe doświadczenia.

Pierwszy gabinet odrodzonej Rzeczypospolitej

Ciągiem dalszym niezwykłych wydarzeń związanych z niepodległościowym listopadem 1918 r. było powołanie przez Józefa Piłsudskiego rządu Jędrzeja Moraczewskiego

Mariusz Grabowski

Pod względem organizacyjnym i prawnym kontynuował prace powołanego jeszcze przez Radę Regencyjną tzw. prowizorium rządowego Władysława Wróblewskiego. Politycznie zaś był częściowo kontynuacją efemerycznego rządu lubelskiego Ignacego Daszyńskiego, który zaledwie dzień wcześniej podporządkował się Piłsudskiemu.

Budowanie państwa

Wśród historyków panuje opinia, że rząd miał od początku charakter „przejściowy”, co sugerował zresztą jego oficjalna nazwa: Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. „Piłsudski, powierzając misję tworzenia rządu Moraczewskiemu, ale i sam Moraczewski mieli świadomość tymczasowości tego rządu” - twierdzi np. prof. Rafał Habielski. I dodaje: „Piłsudski po powrocie z Magdeburga zaproponował pozostanie na stanowisku premiera Ignacemu Daszyńskiemu, szefowi tzw. rządu lubelskiego.

Stronnictwa prawicowe nie bardzo chciały się na tę kandydaturę zgodzić. Natomiast okazało się, że kandydatem strawnym, choć pokrewieństwo między obu panami jest widoczne, że kandydatura Moraczewskiego jest do przyjęcia”.

Rząd miał opanować sytuację do czasu rozpisania wyborów. Fakt, że zdołano je przeprowadzić w ekstremalnie krótkim czasie po odrodzeniu państwa polskiego, już 26 stycznia 1919 r., dowodzi ogromnej dojrzałości politycznej polskiego społeczeństwa w tamtym czasie.

„Panie kapitanie - tak wedle świadków Piłsudski miał zwrócić się do Moraczewskiego w momencie powoływania go na premiera - ma pan zostać prezesem ministrów, ale pod dwoma warunkami: pierwszy, by pan nie wkraczał swymi zarządzeniami w jakiegokolwiek stosunki społeczne, drugi: wypracuje pan w ciągu jednego tygodnia ustawę wyborczą, i to tak, jak gdyby pan miał budować okopy”.

Wolność i socjalizm

Kim był Jędrzej Moraczewski, Prezydent Minsitów wedle ówczesnej nomenklatury? Inżynierem z Wielkopolski, z Trzemeszna (specjalność: inżynieria kolejowa), posłem do Reichsratu (wiedeńskiej Rady Państwa), PPS-owcem, legionistą z Pierwszej Brygady (walczył m.in. na linii Styru i Stochodu). W przeciwieństwie do wielu piłsudczyków, działających przedtem w Polskiej Partii Socjalistycznej, konsekwentnie opowiadał się za radykalną ideologią socjalistyczną.

W jednej z odezw do legionistów pisał tak: „Polska Niepodległa musi (...) dać chłopom ziemię, robotnikom warsztat pracy, inteligencji możność utrzymania. Musi złamać ustrój kapitalistyczny, zdusić lichwę i wyzysk klasy nad klasą. Wtedy (...) pryśnie fałsz, że Polska to powrót pańszczyzny. Zatriumfuje prawda, że Polska to wolność polityczna, równość społeczna i braterstwo wyzwolonych ludów”.

Był jednym z zaufanych Piłsudskiego także po tym, jak przestał być premierem i kontynuował działalność polityczną jako poseł i wicemarszałek Sejmu - mieszkał z rodziną w Sulejówku obok „Milusina”, willi Piłsudskich. Jego żona Zofia przyjaźniła się z Aleksandrą Piłsudską.

„Obywatelu ministrze”

Nowa władza zaczęła od ogłoszenia swojego programu w formie manifestu zatytułowanego: „Do Narodu Polskiego”. Czytamy w nim m.in.: „Wyszliliśmy z ludu. Robotnicy i chłopci polscy oddali nam w ręce władzę nad wyjarzmionymi już częściami Polski (...) Jesteśmy Rządem tymczasowym, powstałym w chwili nagłej potrzeby”. Rząd składał się z członków następujących partii politycznych: Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, Polskiego Stronnictwa Ludowego - Lewica, Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, Polskiej Partii Socjalistycznej, Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”, Zjednoczenia Ludowego oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”.



Rząd Jędrzeja Moraczewskiego. Premier siedzi z prawej strony Józefa Piłsudskiego

Pierwsze posiedzenie odbyło się 18 listopada o godz. 10.40. Podczas prac rządu nie tytułowano się per „pan”, tylko „obywatel”, co miało nawiązywać do tradycji kościuszkowskiej. Tego dnia premier i ministrowie składali także ślubowanie.

Co może wydawać się zaskakujące, członkowie gabinetu dopowiadali słowa przysięgi odnoszące się do Boga. Treść roty brzmiała: „Ślubuję ludowi polskiemu, że jako minister spełniać będę obowiązki mego urzędu bezstronnie, sumiennie i wszystkie me siły obróć ku słuzeniu wedle najlepszego mojej wiedzy i sumienia dobru i interesom Republiki polskiej. Tak mi Panie Boże dopomóż”.

Żadnych kompromisów

Jędrzej Moraczewski spełnił rozkaz Piłsudskiego: jego rząd przygotował ordynację wyborczą nie w tydzień, ale w ciągu trzech dni. Oznaczało to zrealizowanie pierwszego postulatu Naczelnika, co starano się wykorzystać propagandowo. Jednocześnie jednak okazał się radykalny, jeśli chodzi o sferę społeczną.

Ogłosił m.in. powszechne prawo wyborcze obejmujące

również kobiety, co było ewenementem na skalę europejską; ustanowił ośmiogodzinny dzień pracy; zagwarantował legalność związków zawodowych i prawo do strajku; wprowadził inspekcję pracy, ubezpieczenia chorobowe i ochronę lokatorów; ponadto uchwalił - w związku z trwającym kryzysem, manifestacjami i protestami ulicznymi - dekret o walce z tzw. paskarstwem.

Program opublikowano 20 listopada 1918 r. Zgodnie z powyższymi założeniami zakładał „całościową przebudowę ustroju gospodarczego i społecznego wedle doktryny socjalizmu”, zapowiadając ponadto wywłaszczenie wielkiej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolą państwową, upaństwowienie kopalń i całego przemysłu.

Po co ta Polska?

Posunięcia rządu były powszechnie krytykowane, ale znacznie większe niebezpieczeństwo płynęło z faktu, że nie wszystkie siły polityczne opowiadały się za istnieniem niepodległego państwa polskiego. Powstała 16 grudnia Komunistyczna Partia Robotniczej Polski postulowała rewolucję a zamiast Polski „ogólnoswiatowe socjalistyczne państwo federacyjne”.

Moraczewski pisał wówczas: „Cały aparat prasowy puszczono w ruch. Szlachta, ziemiaństwo, przemysłowcy, kapitaliści opodatkowali się nawet wysoko, by tylko zwalić nowy gabinet. (...) uderzyła na niego (...) z całą furją endecja. (...) SDKPiL, PPS-Lewica, Bund, Poalej Syjon, dążąc do przewrotu dla urzeczywistnienia dyktatury proletariatu przy pomocy sowietów, rzuciły się z całą wściekłością na rząd ludowy”.

Skomplikowana była także pozycja międzynarodowa Polski. W Paryżu działał Komitet Narodowy Polski z Romanem Dmowskim i Ignacym Paderewskim na czele, któremu sprzyjały zwycięskie mocarstwa. Na ziemiach polskich znajdowały się wciąż setki tysięcy niemieckich żołnierzy. Moraczewski zdecydował się więc na krok kontrowersyjny - akredytował, jako jedynego posła zagranicznego, Harry'ego Kesslera, przedstawiciela Niemiec.

Orzeł bez korony

Socjalistyczny charakter rządu Moraczewskiego sprawiał, że największym zagrożeniem dlań była endecja, wspierana wprost i pośrednio przez Kościół katolicki. Abp warszawski Aleksander Kakowski zanotował w swoich wspomnieniach: „Rząd Moraczewskiego przyczynił wiele szkód narodowi i państwu polskiemu wydanem dekretów i rozporządzeń ministerialnych o tendencjach lewicowo-radykalnych, jak 8-godzinny dzień pracy, o stabilizacji, i płacy nauczycieli szkół elementarnych”.

Z kolei klasy posiadające obawiające się utraty przywilejów. Wzywano wręcz do niepłacenie podatków na rzecz państwa, bojkotowano pożyczkę narodową, utrudniano politykę zagraniczną. Endeckie demonstracje przelewały się przez kraj. Prawicowa prasa opisywała rząd i Piłsudskiego jako „działających w interesie Żydów, Niemców i Ukraińców”.

Potwierdzała to symboliczna polityka rządu, choćby

w kwestii godła państwowego: polski orzeł miał pozostać bez korony. Minister spraw wewnętrznych wychodził z założenia, iż symbolem monarchii jest korona, a zatem Polska, jako państwo demokratyczne i republikańskie, nie będzie go używać. Na Zamku Królewskim w Warszawie zawisł czerwony sztandar - znak zerwania z tradycją monarchistyczną i „przejęcia władzy przez polski lud”.

Zamach i dymisja

Narodowa Demokracja stała na stanowisku, że powołanie rządu Moraczewskiego było sprzeczne z obietnicą powołania Rządu Jedności Narodowej, którą Piłsudski złożył Radzie Regencyjnej. „Poza gabinetem znaleźli się politycy konserwatywni i endecy, którzy nie chcieli przyjąć zaledwie trzech rządowych tek proponowanych im w listopadzie 1918 roku przez Piłsudskiego” - dowodzi prof. Habielski.

Apogium sprzeciwu był zamach stanu przeciwko Moraczewskiemu. Na czele spiskowców stanął płk Marian Januszajtis-Żegota. Przewrót rozpoczął się 4 stycznia 1919 r. o godzinie 23. Spiskowcy wysłali na miasto kompanię podchorążych i formację Straży Narodowej, które aresztowały m.in. premiera Moraczewskiego i kilku ministrów. Zamach okazał się po trosze operetkowy - oddziały wierne rządowi szybko otoczyły i rozbroiły spiskowców oraz uwolniły aresztowanych ministrów ale udowodnił, że gabinet Moraczewskiego nie posiada wystarczającego poparcia społeczeństwa.

Rząd ustąpił 16 stycznia 1919 r., 10 dni przed wyborami do sejmu ustawodawczego. Piłsudski powierzył misję stworzenia nowego, tym razem centro-prawicowego rządu Ignacemu Paderewskiemu, popularnemu w kraju i związanemu z prawicą. Część historyków uważa, że Piłsudski mógł być inspiratorem zamachu Januszajtisa, aby odsunąć w ten sposób Moraczewskiego z urzędu i zastąpić go Paderewskim, ale brak na to jednoznacznych dowodów.

Polska wieś to przede wszystkim są ludzie

Rolnicy, sołtysi, liderzy społeczności i gospodynie, właściciele agroturystyk... To oni z oddaniem dbają każdego dnia o gospodarstwa, pielęgnują tradycje i rozwijają lokalne inicjatywy.

Polska wieś zawsze była sercem kraju. To tutaj tradycja spotyka się z nowoczesnością. To tutaj rodzą się inicjatywy, które zmieniają lokalne spo-

łeczności, a plony codziennej pracy zapełniają nasze stoły.

Za tym wszystkim stoją ludzie - pracownicy, wytrwali, pełni energii, pomysłów i oddania temu, co robią. Oddani swoim małym ojczyznom.

To właśnie tych bohaterów dnia codziennego uhonorujemy w ramach plebiscytu Mistrzowie Agro 2025 - największej w Polsce tego typu akcji poświęconej mieszkańcom ma-

łych miejscowości. W jej ramach co roku wyróżniamy osoby, które z pasją i determinacją rozwijają swoje gospodarstwa, angażują się w życie sołectw i budują więzi, bez których żadna społeczność nie mogłaby istnieć.

Kandydatów do nagród w plebiscycie Mistrzowie Agro nominują nasi partnerzy, patroni akcji i dziennikarze, a także Czytelniczki. W tym roku

nagrody zostaną przyznane w siedmiu kategoriach, by docenić pracę na wielu polach i nagrodzić przejawy różnorodnej działalności.

Plebiscyt Mistrzowie Agro to jednak nie tylko prestiżowe tytuły i nagrody. To przede wszystkim opowieść o ludziach - ich pracy, wartościach i codziennych wyzwaniach.

Chcemy, by wyszli z cienia i pokazali się światu!

Już sam udział w plebiscycie pozwala nominowanym kandydatom na przedstawienie swoich dokonań i działalności. W czasie trwania głosowania liderów rankingów prezentujemy nie tylko w gazecie, jak dziś, ale również w internecie, a także na naszych fanpage'ach na Facebooku. Po zakończeniu plebiscytu do gazety dołączymy specjalny dodatek, w którym zaprezentujemy lau-

reatów. Dołączenie dodatku będzie zapowiadane w gazecie, internecie, a także na Facebooku. Zanim to jednak nastąpi, trwa głosowanie, które wyłoni wspaniałych Mistrzów Agro. Laureatów poznamy najpierw w powiatach, następnie w skali województwa, a potem finał ogólnopolski wyłoni prawdziwych mistrzów nad mistrzami - którzy udowodnią, że siła polskiej wsi tkwi w ludziach.

Czytaj więcej o akcji na www.polskanews.pl/agro

Zdrowie zwierząt, radość dzieci - to raduje serce

Mariusz Kopycki (Jedlińsk, Jedlińskie Stowarzyszenie Hodowców Ptactwa Ozdobnego i Drobnego Inwentarza) konkuruje w kategorii Lider Społeczności Roku.

Największą satysfakcję daje Mu kontakt z naturą i ludźmi, którzy myślą podobnie - prostolinijnie, z sercem na dłoni. Pan Mariusz kocha to, że każdy dzień przynosi coś nowego: czy to w hodowli ptactwa, czy w działaniach stowarzyszenia. Widok zdrowych, pięknych ptaków, uśmiech dzieci podczas pokazów czy wdzięczność osób, którym udało się pomóc - to wszystko daje Mu ogromną radość i napędza do dalszej pracy. - Życie na wsi uczy cierpliwości, pokory i szacunku do przyrody, a to wartości, które staram się przekazywać



dalej - zaznacza nasz uczestnik, który najbardziej odpoczywa wśród zwierząt. Jak mówi, to one uspokajają i przypominają, po co to wszystko robi. Lubi też

spotkania z rodziną i przyjaciółmi, wspólne ogniska i rozmowy do późna. Działa również charytatywnie - angażując się, m.in. w Szlachetną Paczkę.

W życiu na wsi odnajduje liczne wartości i sens

Kamil Częścik na co dzień reprezentuje sołectwo Nowe Gąsewo (gmina Sypniewo) jako jego sołtys.

W swojej codziennej pracy i życiu na wsi najbardziej ceni sobie bezpośredni kontakt z ludźmi oraz możliwość aktywnego wpływania na rozwój swojej społeczności. - Jako sołtys mam okazję spotykać się z mieszkańcami, wysłuchiwać ich potrzeb i pomysłów, a następnie starać się realizować wspólne cele. To daje mi ogromną satysfakcję, ponieważ wiem, że moje działania mają realny wpływ na życie wsi. Szczególnie lubię to, że mogę łączyć pokolenia, starsze osoby, które mają bogate doświadczenie życiowe, oraz młodszych, którzy często wnoszą świeże pomysły i energię - zaznacza pan Kamil,



mówiąc, że dzięki współpracy z różnymi grupami mieszkańców powstają inicjatywy, które pomagają integrować społeczność i wspierać jej rozwój. I to

ta wzajemna pomoc, wspólne działania są dla Niego źródłem największej satysfakcji, bo dzięki takim relacjom życie na wsi staje się pełne sensu i wartości.

Łączą tradycję swojej małej ojczyzny z nowoczesnością, nie zapominają też o naszej historii

OKGW „Kadłubianki” (gmina Stara Błotnica) rozmawiały z jego przedstawicielką Agnieszką Boczek.

„Kadłubianki” tworzą grupę aktywnych, zaangażowanych kobiet i mężczyzn, których łączy chęć działania na rzecz swojej miejscowości, pielęgnowania tradycji oraz integracji społeczności lokalnej. Koło jest grupą otwartą - uczestnicy współpracują z mieszkańcami, szkołami, samorządami i organizacjami pozarządowymi. Najważniejsze dla Nich wartości to tradycja



i dziedzictwo kulturowe gminy, wzajemna pomoc i solidarność. Ich działania obejmują, m.in. udział w dożynkach gminnych, kiermaszach oraz konkursach kulinarnych. Angażują się również w działania charytatywne i wspieranie potrzebujących. - „Kadłubianki” są idealnym przykładem na to, jak można połączyć tradycję z nowoczesnością. Pomimo młodego wieku członkiń i członków naszego koła, nie zamykamy się jedynie na innowacyjność i nowoczesność, ale chętnie sięgamy po tradycyjne roz-

wiązania. Lubimy, kiedy w naszej kuchni królują staropolskie potrawy i dania, oraz bardzo chętnie promujemy je na wszelkiego rodzaju uroczystościach, takich jak dożynki czy kiermasze - zaznacza pani Agnieszka, dodając, że mają także tradycję kultywowania i czczenia ważnych dat dla naszego narodu. Nowoczesność przejawia się w Ich designerskich strojach, które wyróżniają się na tle klasycznych, długich spódnic, po które chętnie sięgają kobiety z pozostałych kół gospodyń.

Patroni honorowi:

Partnerzy plebiscytu:

Patronat regionalny:

pod PARAGRAFEM

W KSIĘGARNIACH

Tokio spowite mrokiem

Już za tydzień w sprzedaży „Łabędź i nietoperz” Keigo Higashino (wyd. Relacja). Autor wciąga czytelnika w mroczną historię zbrodni, która rzuca długi cień na dwie rodziny. Gdy w Tokio zostaje zamordowany znany prawnik, a do winy przyznaje się niepozorny emeryt, sprawa wydaje się oczywista. Ale jego syn i córka ofiary docierają do pewnych wydarzeń sprzed lat...

ZA TYDZIEŃ

6 listopada 1923 r.: Krwawy Wtorek w Krakowie

Sto lat temu atmosfera w Krakowie przypominała rewolucję. Protesty robotnicze w zakończyły się ich stłumieniem przez policję i wojsko.



FOT. CC

Przedwojenne żydowskie gangi. Terror i handel żywym towarem

Stanisław Majerowski
redakcja@polskatimes.pl

Kupczenie kobietami i kontrola rynku usług seksualnych stanowiła domenę polskich Żydów. Był to jeden z najbardziej wstydlivych problemów tej społeczności.

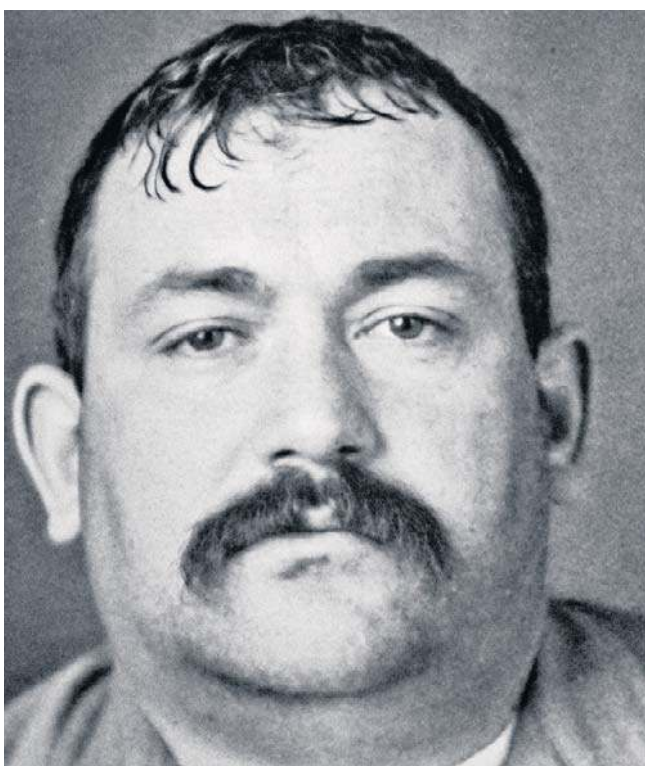
W 1932 roku w Wilnie został porwany syn właściciela kantoru lombardu „Kresovia” Josela Lejbowicza, uważanego za najbogatszego mieszkańca miasta. Sprawcy zażądali gigantycznego okupu. Uprawdzenia dokonła banda o nazwie „Złoty sztandar”, a tworzyły ją niedobitki słynnej Bruderferajny - rozbitego przez policję jeszcze w latach 20. jednego z największych gangów ówczesnej Polski.

Do tej pory „Złoty sztandar” specjalizował się raczej w rabowaniu niedużych banków na Wileńszczyźnie, od czasu do czasu organizowano też napady na wagony pocztowe. Jednak w 1932 r. do Wilna zawitał niejaki Berek Krawiec, rzekomo pomagier słynnego gangstera z Chicago - Ala Capone'a. Po przyjeździe nad Wilię Krawiec szybko się jednak znużył bezczynnością i postanowił zaproponować swoim nowym kumpłom z Bruderferajny skok w stylu amerykańskim.

Mafia z Wilna

Czym było Bruderferajny? W tłumaczeniu z jidysz „związkiem braterskim”, przestępczą elitą żydowskich Kresów. „Jego początek, przypadający na styczeń 1911 r., związany jest z nowatorskim jak na owe czasy pomysłem dwóch wileńskich włamywaczy: Saszki Lichtsohna vel Chany Bobkesa i Aarona Wójcika. Otóż postanowili oni stworzyć organizację będącą swego rodzaju samopomocą tzw. „błatnych” - czytamy w tekście „Bruderferajny - mafia z Wilna” na stronie Rojsty.worpress.com.

Szybko okazało się, że korzyści płynące z nieformalnej organizacji są tak wielkie, że przekształcono ją w organizo-



FOT. CC

Noe Trauman (1868-1912), Żyd z Łodzi, założyciel organizacji Cwi Migdal działającej na terenie Argentyny i Brazylii

wany gang. Poza tym każdy z gangsterów opłacał składki członkowskie, z których tworzone (wg rosyjskiej nomenklatury) tzw. obszczak, w razie wypadki rodzina przestępcy mogła więc liczyć na wsparcie.

Złote lata dla szajki przyniosła im jednak wolna Polska. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej organizacja Lichtsohna i Wójcika rozmarła się do niebotycznych rozmiarów - miała tysiąc członków, wszystkich przestępców z miasta.

Mieli sąd i kancelarię

Mimo to Bruderferajny miał się świetnie. Doszło do tego, iż dla ogarnięcia tak wielkiej liczby ludzi i interesów szefowie organizacji założyli profesjonalną kancelarię. W specjalnym pokoju w mieszkaniu Lichtsohna trzymano kartoteki kupców i zamożniejszych mieszkańców Wilna, księgi rachunkowe, księgi przewinień, wykroczeń i zdrad poszczególnych członków organizacji oraz

kasę pancerną z „obszczakiem”.

„Saszka Lichtsohn, nazywany przez kamratów Prezesem, szybko wysunął się na przywódcę organizacji” - czytamy w teście z Rojstów. „Bali się go zarówno zwykli mieszkańcy Wilna, jak i gangsterzy. Dla tych ostatnich nie bez znaczenia był fakt, że to on stał na czele mafijnego sądu, który dbał o porządek i eliminował zdrajców.

W latach 20. policja państwowa, dopiero co powstała i raczkująca, nie była przeciwnikiem dla zorganizowanych gangusów. Z czasem jednak to policja zyskała przewagę. W 1924 r. przyszedł czas i na Bruderferajny. Gdy gangsterzy zastrzelili złodzieja Elkę Gurwicza, który nie bał się przeciwstawić Prezesowi, policja ruszyła do natarcia i w zaledwie kilka miesięcy wszyscy najbardziej prominentni działacze Bruderferajny trafili za kratki.

Marny koniec ferajny

W tym miejscu wróćmy do wątku Berka Krawca. Z nudów zaproponował swoim byłym kumpłom z Bruderferajny porwanie dla okupu syna jednego z najbogatszych wlnian, 8-letniego Josela Lejbowicza. Opracował szczegółowy plan porwania i zdaje się, że wziął na siebie nawet kierowanie całą tą skomplikowaną operacją.

W lutym 1932 r. Zelig Lewinson, Chana Bobkes i ich ludzie porwali Josela i za uwolnienie dziecka zażądali 14 tys. zł. W latach 30. w Polsce była to zupełna nowość. Początkowo policja działała zupełnie po omacku. Zaczęto obawiać się o życie chłopca. Lejbowicz zebrał żądany okup i zostawił w wskazanym przez gangsterów miejscu.

Przełom w sprawie nastąpił w momencie, gdy nieoczekiwanie z pomocą policji przyszedł po raz kolejny - lokalne środowisko przestępcze, które uznały sprawcę kidnapingu za obcego, który ośmielił się wejść i działać na ich terenie.

Policja szybko namierzyła porywaczy, aresztując większość z nich. „Ci, którzy uniknęli chwilowo aresztu, sami po trzech dniach wypuścili chłopca. Odzyskano forsy. Po głośnym procesie Saszka Lichtsohn został skazany na cztery lata więzienia, co zakończyło dzieje Bruderferajny, największej w międzywojniu organizacji złodziejskiej” - czytamy na stronie Rojstów. Większość Bruderferajny została rozstrzelana w 1941 roku w Ponarach.

Filantropi i sutenerzy

O ile Bruderferajna trzęsła Wilnem, w Warszawie poczynał sobie gang Zwi Migdal, założony w Buenos Aires jeszcze w latach 90. XIX w. przez stręczycieli, alfonsów i właścicieli domów publicznych specjalizujących się w przemycaniu kobiet ze wschodniej Europy. Członkami organizacji byli głównie Żydzi z ziem polskich, a jej ofiarami w większości polskie żydówki.

Jak pisze Isabel Vincent w książce „Ciała i dusze”, początkowo organizacja nosiła nazwę „Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy” i miała charakter filantropijny. Dopiero później, na żądanie polskiego ambasadora w 1929 roku, zmieniono nazwę na „Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Zwi Migdal”. Nazwa towarzystwa wybrana została dla upamiętnienia jednego z założycieli, Zwi Migdala, który znany był również jako Luis Migdal.

Towarzystwo zostało oficjalnie powołane do życia 7 maja 1906 r., ale początki jej działań-ności sięgają wcześniejszego okresu. Jej pierwszym prezesem oraz głównym założycielem był Żyd polskiego pochodzenia, urodzony w Łodzi Noe Trauman, który w młodości musiał uciekać z kraju z powodów politycznych. Jako że Ameryka Południowa była coraz popularniejszym kierunkiem emigracji, na stałe zamieszkał w Argentynie i związał się z tamtejszymi sutenerami i handlarzami kobiet z Europy.

Mamione boskim Buenos

Według Isabel Vincent przyczynami emigracji żydowskich kobiet z Imperium Rosyjskiego do Ameryki Południowej były rosyjski antysemityzm oraz bieda. Do tego trzeba dodać tolerancję dla zjawiska prostytucji charakterystyczną dla latynoskiej kultury, skorumpowaną policję, a poza tym nowe i szybkie połączenia morskie między Europą i Ameryką.

Scenariusz przez lata pozostawał taki sam. Kobiety były mamione dobrze płatną pracą za granicą lub naprędce organizowanym ślubem z przystojnym i bogatym Żydem, który poszukuje żony wychowanej w tradycji. Rodzinie, która godziła się na oddanie dziewczyny, wypłacana była zaliczka pieniężna, a niesamowita nędza, w jakiej żyli, tylko sprzyjała zgodzie na ów proceder.

Dziewczęta w większości miały po 13-16 lat, aczkolwiek

przedział wiekowy był znacznie szerszy - zaczynał się od lat 7, a kończył na 20. Do 1913 roku w Buenos Aires zarejestrowanych było ponad 4 tys. prostytutek pochodzenia żydowskiego, przywożonych głównie z terenów Galicji, Bukowiny, Kongresówki i zachodnich guberni rosyjskich. Ale macki Zwi Migdal działały równie energicznie w Warszawie, Lublinie i Białymstoku.

Doniosła rola Raquel

„Atrakcyjni mężczyźni - pisze Vincent - podróżowali po wsiach, poszukując młodych kobiet, którym oferowali intratną pracę za granicą, niewymagającą żadnych kwalifikacji, a gwarantującą życie na wysokim poziomie. Czasem zawierano małżeństwa. Wykorzystywano np. żydowskie rytualne związki małżeńskie, ponieważ ich zawarcie nie wymagało obecności rabina, nie były również odnotowywane w oficjalnych dokumentach. Handlarze tłumaczyli rodzinie ofiary, że jedyną szansą na zawarcie małżeństwa jest wyjazd za granicę, ponieważ w Polsce narzeczonemu groziła obowiązkowa służba wojskowa”.

Towarzystwo oficjalnie zakończyło działalność w 1930 r. w wyniku doniesienia złożonego przez byłą prostytutkę Raquel Liberman w 1929 r. Liberman była Żydówką pochodzącą z Polski i dzięki swojej postawie przeszła do historii jako pierwsza, której udało się uciec spod kontroli organizacji. We wrześniu 1930 r. odbył się proces, na którym skazano 108 osób, jednak ostatecznie tylko trzy pozostały w więzieniu.

W Polsce do likwidacji zjawiska przyczyniło się wprowadzenie 11 lipca 1932 r. nowego Kodeksu karnego. W części ogólnej (art. 9) handel niewolnikami, kobietami lub dziećmi wymieniono jako przestępstwa, względem których obowiązuje zasada „represji wszechświatowej (tzw. zasada ścigania uniwersalnego)”.

Jakub Kamiński: Jest niedosyt. Nawet duży

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Jakub Kamiński jest bodaj największym wygranym w kadrze w kadencji Jana Urbana. Po świetnym występie z Holandią nie ukrywał, że w reprezentacji można wyczuć nową energię.

Strzelec gola dla Polski podkreślił, że zespół zrobił duży postęp pod wodzą selekcjonera Jana Urbana. I nie ukrywał... niedosytu.

- Chcemy zrobić kolejny krok we właściwym kierunku w rozwoju tej reprezentacji - mówił po meczu w mixed zone Jakub Kamiński, strzelec jedyne go dla Polski w meczu z Holandią. W Bundeslidze strzelił już 4 gole w 10 meczach, a w reprezentacji było to dla niego trzecie trafienie. - To była bardzo fajna akcja i ważny gol. W tym sezonie trochę tych bramek mam już na koncie. Mniej nadzieję, że to będzie przedsmak czegoś większego w tym sezonie, również w reprezentacji. Na to pracuję. Na to liczę. To znaczy - liczę na więcej.

Z jakimi założeniami wysłisście na rewanżowe spotkanie z Holendrami?

Selekcjoner liczył na to, że już na połowie rywala zdominujemy tak klasowy zespół, jak Holandia. I rzeczywiście, w ataku pozycyjnym tworzyliśmy supersytuacje. Szkoda tylko, że nie udało się dołożyć jeszcze jednej bramki.

Jesteś zadowolony z bramki i remisu, czy raczej odczuwasz niedosyt, że nie udało się wywalczyć zwycięstwa?

Jest duży niedosyt, bo wszyscy widzieli, że mieliśmy więcej klarownych okazji. Zabrał czasem ostatniego poda-

nia, czasem decyzji o strzale w decydującym momencie. Ale naprawdę zegraliśmy dobre zawody. Holandia aktualnie nie jest dla nas taka straszna, jak ją malują. Teraz można wygrać z każdym, niezależnie od tego, kim jest przeciwnik. Trener Urban chce rozwijać tę reprezentację i naprawdę zależało mu, żebyśmy potrafili utrzymać się przy piłce wysoko.

Ostatnie tygodnie to dla Ciebie znakomity czas - zarówno w reprezentacji, jak i w klubie. W FC Köln jesteś jedną z kluczowych postaci, regularnie chwali Cię trener Lukas Kwaśniok. Jaką wysoko ustawiasz sobie poprzeczkę przed kolejnymi spotkaniami?

Bierzemy z tego meczu to, co najlepsze - a trochę tego naprawdę było - i patrzmy pozytywnie w przyszłość. Zakończmy te kwalifikacje w dobrym stylu, z dobrym wynikiem. Ta reprezentacja idzie do przodu i już czekamy na marcowe baraże. Oby tylko zdrowie dopisywało, a dokąd mnie to zaprowadzi - po prostu zobaczymy.

©©



Kamiński ma już trzy gole w kadrze i liczy na więcej

Ta drużyna naprawdę rokuje

Jacek Czaplewski
redakcja

Po tym, co zobaczyliśmy w hicie z Holandią, tli się nadzieja, że nie tylko awansujemy na mundial, ale jeszcze złamiemy schemat zaczynający się od meczu otwarcia, a kończący na tym o honor.

Spotkanie z Holandią nie miało żadnego znaczenia w kontekście iluzorycznych szans na bezpośredni awans. Te zaprzepaściliśmy za kadencji Michała Probierza, przegrywając w Helsinkach z Finlandią. Piątkowy hit miał dać Janowi Urbanowi inne odpowiedzi. Selekcjoner liczył na to, że drużyna zagra jak równy z równym, również dzięki grze w ataku pozycyjnym. I tak się stało.

Biało-Czerwoni wystąpili bez czterech podstawowych dotąd zawodników: Łukasza Skorupskiego, Jana Bednarka, Bartosza Slisza i Przemysława Wiśniewskiego. Mało tego, przed upływem kwadransa z powodu uszkodzenia mięśnia przywodziciela długiego wypadł piąty - Sebastian Szymański - który zresztą przedwcześnie opuścił zgrupowanie.

Urban już na etapie wstępnych powołań dał do zrozumienia, że chce grać z Holandią odważnie. Poza wykartkowanym Sliszem nie powołał żadnego pomocnika o charakterystyce boiskowej szóstki nastawionej na bronienie. Niżej zagrał Piotr Zieliński i wypadł fenomenalnie, rozgrywając jak na prawdziwego lidera przystało.

Polska już w 2 minucie mogła objąć prowadzenie, jednak z bliska po zagraniu Matty'ego Casha spudłował Nicola Zalewski. Prowadzenie przed przerwą i tak objęliśmy - rzutem na taśmę. W 43 minucie po fantastycznym zagraniu Roberta Lewandowskiego na wolne pole lukę między nogami bramkarza znalazł



W 43 min po podaniu Lewandowskiego lukę między nogami bramkarza znalazł Kamiński

Jakub Kamiński, jeden z najlepszych tego dnia w naszej reprezentacji. Szkoda, że zaprzepaściliśmy to zaraz po zmianie stron, gdy nasze błędy w defensywie wykorzystał Memphis Depay.

Podopieczni Urbana do końca walczyli o pełną pulę, za co po ostatnim gwizdku sędziego zostali nagrodzeni bramkami przez 56 tys. kibiców. - Wydaje mi się, że byliśmy bliżsi zwycięstwa, ale nie chcę powiedzieć szkoda - tłumaczył na gorąco selekcjoner. W tym meczu dał zadebiutować 19-letniemu Filipowi Rózdze z austriackiego Sturm Graz. To czwarty zawodnik, który rozpoczął przygodę z reprezentacją dzięki Urbanowi. Wcześniej zaistnieli Arkadiusz Pyryka, Przemysław Wiśniewski oraz Jan Ziółkowski.

Kolejni czekają w blokach. Jest w kim wybierać, zwłaszcza w ofensywie, bo tego samego dnia młodzieżowa kadra U-21

prowadzona przez Jerzego Brzęczka w fenomenalnym stylu odwróciła mecz z Włochami w Szczecinie, wygrywając 2:1.

Dziś jeszcze bez nich pierwsza reprezentacja dopełni formalności w sprawie pierwszego koszyka, z którego zostanie wylosowana w dwuetapowych barażach. W domowym półfinale możemy trafić np. na Rumunię, Szwecję, Irlandię Północną, Walię bądź Macedonię Północną. Losowanie 13 grudnia, mecz 26 marca, a spodziewany finał 31 marca. Czy na PGE Narodowy w ogóle wejdą kibice? Tego nie wiadomo, bo dopiero poznamy karę za incydent, którego podczas spotkania z Holandią dopuścili się pseudokibice, rzucając na murawę kilkanaście odpalonych rac, co doprowadziło do przerwania zawodów.

Dziś o godzinie 20:45 rozpocznie się ostatni grupowy mecz reprezentacji Polski w eli-

minacjach mistrzostw świata 2026 transmitowany przez kanały TVP1 i TVP Sport. Zagramy na wyjeździe z przedostatnią Maltą, mając pewność udziału w 2-etapowym barażu.

©©

POLSKA-HOLANDIA 1:1

Bramki: Kamiński 43' - Depay 47'
Polska: Grabara - Cash (81. Wszółek), Ziółkowski, Kędziora, Kiwior, Skóraś - Kamiński (90. Różga), Szymański (13. Kapustka), Zieliński, Zalewski (82. Grosicki) - Lewandowski (90. Buksa).
Holandia: Verbruggen - Geertruida (74. Van Hecke), Timber, Van Dijk, Van de Ven - Malen, De Jong, Gravenberch (89. Schouten), Kluivert (74. Reijnders), Gakpo - Depay (89. Emegha).
Żółte kartki: Zieliński, Ziółkowski - Van Hecke
Sędzia: Mariani (Włochy). **Widzów:** 56 278.

TABELA GRUPY GEL. MŚ

| Inne wyniki: Finlandia - Malta 0:1 | | | |
|------------------------------------|---|----|------|
| 1. Holandia | 7 | 17 | 23-4 |
| 2. POLSKA | 7 | 14 | 11-5 |
| 3. Finlandia | 8 | 10 | 8-14 |
| 4. Malta | 7 | 5 | 2-16 |
| 5. Litwa | 7 | 3 | 6-11 |

Holendrzy narzekali nie tylko na murawę. A selekcjoner Urban - głównie na race...

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

W polskim obozie nie brakowało pozytywnych głosów po meczu z Holandią. Zupełnie inaczej było po stronie Holendrów.

Stan murawy na PGE Narodowym w Warszawie od lat wzbudza kontrowersje. W ostatnich meczach wydawało się jednak, że jakość trawy uległa poprawie, zapewniając zawodnikom komfort gry. Po spotkaniu z Ho-

landią krytyczną opinię na temat nawierzchni wyraził jednak Frenkie De Jong:

- Murawa była słaba. Wyglądała dobrze, ale taka nie była. Była luźna, nierówna, co zdecydowanie nie ułatwia gry - skwitował pomocnik Barcelony oraz klubowy kolega Roberta Lewandowskiego, w wywiadzie dla portalu AD.NL.

Co ciekawe, według relacji Roberta Lewandowskiego, De Jongowi przeszkadzało nie tylko boisko. Holender często charakterystycznie sapął pod-

czas gry, wyrażając niezadowolenie z poczynaniami reprezentacyjnych kolegów.

- Biegałem obok niego, trochę rozmawialiśmy, a czasem słyszałem jego wzdychanie, które dobrze znam z klubu. Kiedy tak oddycha, to znaczy, że coś dzieje się nie po jego myśli - mówił Robert Lewandowski w rozmowie z TVP Sport.

Lewandowski mógł zejść z boiska przed końcowym gwizdkiem z podniesioną głową. Selekcjoner Jan Urban postawił na odważny, ofen-

sywny skład, co zrobiło wrażenie na napastniku Barcelony. A dobre samopoczucie przełożyło się na fantastyczną asystę przy голу Kuby Kamińskiego i późniejsze oceny kapitana, że remis w Rotterdamie to było nasze maksimum, natomiast w piątek na PGE Narodowym - minimum.

Skandal na trybunach PGE Narodowego

W drugiej połowie doszło również do przykrego incydentu z udziałem polskich kibi-

ców, którzy na znak swojego niezadowolenia i protestu przeciwko PZPN, który zabronił im wnieść patriotycznej oprawy, rzucali odpalonymi racami na murawę. Selekcjoner Jan Urban na konferencji prasowej odniósł się do ich haniebnego zachowania, które w niedalekiej perspektywie może przynieść więcej strat niż korzyści. - Do takich sytuacji nie powinno dochodzić. Proszę sobie wyobrazić, że gramy u siebie baraż, ale mamy zamknięty stadion. No nie, po co to, ale

do niektórych to nie dociera - tłumaczył na oficjalnej konferencji.

Co powinno cieszyć?

- Kibice mogli być zadowoleni z naszej gry. Mówiłem też, że chciałbym w domowym meczu, aby drużyna dłużej utrzymała się przy piłce niż w Holandii. To też się wydarzyło i cieszy. W tym składzie było przecież wiele rosza; jedne wymuszone kartkami, drugie z powodu kontuzji - podsumował selekcjoner. ©©

Cała Malta w euforii. A teraz czas na... Polskę

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Henry Bonello 13 października skończył 37 lat i już raczej nie opuści Malty. Jake Grech 18 listopada ukończy 29 lat i gra w Florianie La Valletta. Obaj byli bohaterami swojej drużyny narodowej.

Bonello znakomicie bronił, a Grech po wejściu za Paula Mbonga zdobył zwycięskiego gola w meczu z Finlandią dla Maltańczyków, którzy oszaleli ze szczęścia.

Poprzednio w eliminacjach mistrzostw świata Malta u siebie 1 września 2021 w Ta Qali pokonała Cypr 3:0. Na wyjazdach potrafiła pokonać Estonię 1:0 (12.05.1993) i Armenię 1:0 (7.06.2013), ale sukces z Helsinek w tych rozgrywkach w wyspiarskim państwie stawia się nawet wyżej niż domowe wiktorie z... kwalifikacji Euro '76 z Grecją 2:0 i kwalifikacji Euro '08 z Węgrami 2:1. Maltańscy kibice byli bardzo rozczarowani, że ich kadra nie potrafiła w eliminacjach mistrzostw świata 2026 ograć Litwę (0:0, 1:1), ale też nie spodziewali się triumfu w Helsinkach.

- Maltańscy mają drego do piłki. Są dobrze wyszkoleni technicznie, a praca w tym kraju szkoleniowców z Włoch przynosi efekty. Hamrun Spartans gra w Lidze Konferencji i doświadczenie piłkarzy tego zespołu przekłada się na drużynę narodową - mówi Marcel Zapytowski, były bramkarz Birkirkara FC (obecnie islandzki Vestmannaeyar), który w zespole prowadzonym obecnie przez Emilio De Leo ma kilku kolegów. Włoski trener na listopadowe spotkania z Finlandią i Polską powołał czterech zawodników z Hamrun Spartans. Bonello zajął miejsce między słupkami i zaliczył bardzo dobre zawody, Paul Mbong przebywał na placu do 79 minuty, natomiast doświadczony Ryan Camenzuli i młody Sven Xerri nie załapali się do kadry meczowej.

- W Helsinkach Malta pokazała bardzo dobrą organizację gry, a selekcjoner De Leo przeprowadził świetne zmiany - przyznał Rowen Camilleri, związany z Hamrun Spartans jako trener młodzieży. Nie tylko on był zachwycony tym co się wydarzyło, cały kraj oszalał.

Finowie już przed spotkaniem z Maltą nie robili sobie na-



Karol Świdorski zdobył obie bramki w pierwszym tegorocznym meczu z Maltą

dzieci na barażu, tamtejsze media uznały, że ich drużyna jest zdecydowanie słabsza od Polski. Spotkanie z outsiderem traktowano jako etap przygotowań do eliminacji Euro 2028. Duński selekcjoner Finlandii, Jacob Friis w wyjściowej jedenastce swojego zespołu postawił na zawodników klubów, kolejno: Celtic

(Szkocja), FC Nordsjaelland (Dania), Istra 1961 (Chorwacja), Djurgarden (Szwecja), Pardubice (Czechy), Sparta Praga (Czechy), 1. FC Nuernberg (Niemcy), Sirius (Szwecja), Glasgow Rangers (Szkocja), Palermo (Włochy), Hannover 96 (Niemcy).

Bramki dla gospodarzy miał strzelać Benjamin Kallman, któ-

remu po odejściu z Cracovii dobrze wiedzie się w Hanowerze, a w tym sezonie w drugiej Bundeslidze uzyskał 6 goli. W reprezentacji jego licznik zatrzymał się na cyfrze 10, a w 78 minucie zastąpił go legendarny Teemu Pukki, kiedyś uwielbiany przez fanów Norwich. W drużynie narodowej na trafienie czeka od 4

czerwca 2024; z Maltą nie powiększył dorobku, a gdy był na boisku jego team stracił gola.

- Maltańscy to waleczny naród, oni nie poddają się nawet gdy nie mają wielkich szans. Kiedy grałem w Birkirkara, Malta w towarzyskim spotkaniu zremisowała z przygotowującą się do finałów Euro 2024 Słowenią 2:2. A to zespół dużo lepszy od Finlandii - podkreśla Zapytowski, który przestrzega przed lekceważeniem Maltańczyków marzących o sprawieniu sensacji w starciu z Polską.

Raz - 3 lutego 1999 w Ta Qali byli o krok od remisu, ale już w doliczonym czasie gola głową wbił im Tomasz Kłos. Tym razem nasi zamierzają oszczędzić sobie takiej nerwowki.

© P

FINLANDIA-MALTA 0:1

Bramka: Grech 81.

Finlandia: Sinisalo - Lahteenmaki, Koski, Tenho - Mahuta (73. Jukkola), Kairinen, Markhiev (73 Skytta), Walta, Antman (78 Kesinen) - Kallman (78 Pukki), Pohjanpalo (61 Lod).

Malta: Bonello - Muscat (79 Mentz), Shaw, Pepe (88 J. Borg), Corbalan - Guillaumier, Satariano - J. Mbong (65 Overend), P. Mbong (79 Grech), Chouaref - Cardona (88 Zammit).

Sędziowie: Weinberger (Austria).

Widzów: 13577.

Dwie legendy, jeden cel - ten sam. Kto jeszcze posmakuje mundialu w Ameryce?

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Edin Dzeko, 39-letni napastnik reprezentacji Bośni i Hercegowiny dotąd tylko raz posmakował mundialu. Nie dziwne, że chciałby wrócić na finały mistrzostwa świata.

Zwłaszcza że wspomnienia ma nie najlepsze. Bośniacy mieli ogromne pretensje do sędziego spotkania z Nigeryjczykami, bo nie uznał prawidłowego gola właśnie Dzeko, a przy trafieniu dla zespołu z Afryki nie dopatrzył się ewidentnego faulu na Amirze Spahiciu...

Nigeria wygrała wtedy 1:0, a przy jej prowadzeniu napastnik, wówczas Manchesteru City, trafił w słupek. - Nawet nie wiem co mam powiedzieć - przyznał po spotkaniu załamany Dzeko, któremu na turnieju w Brazylii uznano gola z Iranem, ale wygrana z tym przeciwnikiem 3:1 dała Bośni i Hercegowinie godne rozstanie z imprezą. Drużyna prowadzona przez Safeta Susicia miała potencjał, by zostać czarnym koniem mundialu w 2014 roku, postawiła się Argentynie (1:2) i nie powinna ulec Nigerii.

- Mamy bardzo dobrą drużynę, liczę, że pokażemy się na następnych wielkich impre-

zach - mówił Dzeko, który zmienił kluby, z Manchesteru City przeniósł się do Romy, potem był Inter, Fenerbahce, teraz jest Fiorentina. Z uczestników mundialu sprzed 11 lat w bośniackiej kadrze nadal jest Sead Kolasinac, który mecz z Rumunią w Zenicy spędził na ławce rezerwowych, ale pobięł wraz z kolegami pogratulować kapitanowi Edinowi bramki na 1:1. Po niej do szaleństwa miejscowych kibiców doprowadziły gole Esmira Bajrakterevicia (PSV Eindhoven) i Harisa Tabakovicia (Borussia Moenchengladbach) - tu dla pewności skorzystano z VAR.

Dzeko mógł żałować, że VAR brakowało na mundialu 2014, bo może inaczej potoczyłaby się jego reprezentacyjna kariera. Dla kibiców i tak jest legendą, choć nie zagrał ani razu w finałach Euro, jak Marko Arnautović z Austrią. Panowie Dzeko i Arnautović minęli się w Interze, gdzie ten drugi wrócił na 2 sezony w 2023 roku. Po Euro 2024 urodzony w Wiedniu napastnik z serbskimi korzeniami, myślał o zakończeniu pięknej przygody z reprezentacją, ale został. - Marzę o starcie na mundialu, tego mi brakuje najbardziej - zapowiadał Arnautović, który uzyskał 8 goli w tegorocznych eliminacjach, w tym dublet z Cyprem w Limassol. Po wygranej 2:0 Austriacy czekali



Dla tego giganta futbolu będzie to już szósty mundial w karierze... Leo Messi wywołał w Angoli szaleństwo

na wieści z meczu z Zenicy, przy stracie punktów przez Bośnię i Hercegowinę mieliby już awans. Tak się nie stało, choć długo się na to zanosilo i we wtorek, 18 listopada team Ralfa Rangnicka zagra o wszystko z ekipą Sergeja Barbareza, legendy Bundesligi (grał w Hansie Rostock, Borussii Dortmund, Hamburger SV, Bayerze Leverkusen). Austriakom wystarczy remis, mają już pewne miejsce w barażach,

lecz tego woleliby uniknąć. - W Limassol wykonaliśmy swoją robotę. Zgraliśmy z dużą intensywnością i zdobyliśmy bardzo ważne punkty - podsumował Marcel Sabitzer, pomocnik Borussii Dortmund z kadry Austrii, który czeka na kropkę nad i w Wiedniu.

Austria i Bośnia Hercegowina w ostatniej kolejce kwalifikacji zagrają o wszystko, czyli bezpośredni awans na mundial, tak jak

Szkocja z Danią (obie straciły punkty w sobotę - Szkoci ulegli na wyjeździe Grecji, Dania zremisowała u siebie z Białorusią) czy Niemcy ze Słowacją. Bohaterem Słowacji w konfrontacji z Irlandią Północną został Tomasz Bobcek, napastnik Lechii Gdańsk, który pojawił się na boisku w 88 minucie i w doliczonym czasie pokonał Bailey'a Peacocka-Farrella z Blackpool.

- Trener Calzona żartował przed spotkaniem, że 10 minut mi wystarczy. Dostałem mniej, ale nie zapomnę tego nigdy. Bardzo czekałem na swój debiut w reprezentacji, no i się doczekałem. Może za kilka dni, lub miesięcy dojdzie do mnie co się stało w Koszycach - mówił szczęśliwy zawodnik Lechii Gdańsk. Słowacy nie są faworytem konfrontacji z Niemcami, ale w Bratysławie we wrześniu pokonali ich 2:0, do czego chętnie wracają. W kluczowym meczu Julian Nagelsmann nie będzie mógł skorzystać z Joshuy Kimmicha, Nico Schlotterbecka, Karima Adeyemiego, wcześniej wypadli Antonio Rudiger, Benjamin Henrichs, Jamal Musiala, Kai Havertz, Tim Kleindienst, Niclas Fullkrugi i Marc-Andre ter Stegen.

Niemcy muszą do końca walczyć, takich problemów nie mają Anglicy (7 zwycięstw na 7, gole 20-0), Francja, Chorwacja (Luka

Modrić przeciw Wyspom Owczym zagrał swój mecz numer 193 w drużynie narodowej). Hiszpania demoluje przeciwników nawet bez Lamine Yamala, w Gruzji wygrała 4:0, a dubletem popisał się Mikel Oyarzabal z Realu Sociedad. Trener Furia Roja, Luis de la Fuente wie jak zardzącać bogactwem i każdy kolejny mecz eliminacyjny traktuje niczym poligon przed finałami MŚ 2026, na które Hiszpanie wybiorą się z jasnym celem - po złoto. Taki sam plan ma Argentyna, zwycięzca kwalifikacji w strefie CONMEBOL. W listopadzie Albicelestes zainkasowali 12 milionów dolarów za przyjazd do Angoli by uświetnić 50-lecie odzyskania niepodległości przez ten kraj. Mistrzowie globu zwyciężyli 2:0, trafili Lautaro Martinez (po raz 36) i Leo Messi (115), którego pojawienie się w Luan-dzie wywołało szaleństwo.

Posobotnich meczach start w amerykańskim mundialu zapewnili sobie:

gospodarze: USA, Meksyk, Kanada

Europa: Anglia, Francja, Chorwacja, Szwajcaria

Azja: Japonia, Iran, Jordania, Korea Półd., Uzbekistan, Australia, Katar, Arabia Saudyjska

Afryka: Maroko, Tunezja, Egipt, Algieria, Ghana, Republika Zielonego Przylądka, Republika Południowej Afryki, Wybrzeże Kości Słoniowej, Senegal;

Oceania: Nowa Zelandia;

Ameryka Półd.: Argentyna, Brazylia, Ekwador, Urugwaj, Kolumbia, Paragwaj © P

15 punktów to jeszcze za mało, by wygrać grupę

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Piłkarska reprezentacja Polski U-21, po stojącym na świetnym poziomie meczu eliminacji MME, pokonała rówieśników z Włochami 2:1, odwracając losy spotkania w ostatnich minutach.

- Spotkanie w Szczecinie to było coś więcej niż tylko mecz - ocenili występ swoich podopiecznych selekcjoner Jerzy Brzęczek, który młodzieżową reprezentację Polski objął 9 sierpnia 2025 roku.

Przypomnijmy, że w czerwcu tego roku nasza młodzieżówka wystąpiła w mistrzostwach Europy. Biało-Czerwoni przegrali wówczas wszystkie trzy spotkania i odpadli z turnieju. Po tym doszło do zmiany selekcjonera - drużynę narodową opuścił Adam Majewski, którego zastąpił właśnie Jerzy Brzęczek.

A już trzy miesiące później, nasi młodzi piłkarze zainaugurowali zmagania w eliminacjach „2027 UEFA European Under-21 Championship”.

- Jestem ogromnie zadowolony ze zwycięstwa z Włochami - stwierdził Brzęczek. - Zwłaszcza że w drugiej połowie długimi chwilami cierpieliśmy. To efekt tego, co się działo w pierwszej części. Zagraliśmy ostrym pressingiem, utrzymywaliśmy bardzo wysokie tempo gry. To musiało skutkować przestojami. Impuls do przejścia inicjatywy dali zmiennicy. Ale to nie jest przypadek. To kolejny mecz, gdy rezerwowie odgrywają znaczące role. W tym jest nasza siła. Ćwiczymy to od pierwszego zgrupowania.

Szkoleniowiec miał jednak pretensje do swoich graczy o to, że w drugiej części zbyt często tracili piłkę.

- I to był chyba przełomowy element w naszej grze. W pew-

nym momencie zaczęliśmy grać dokładnie. Rezerwowie dali impuls do ataku i odzyskali kontrolę nad meczem. W efekcie zdobyliśmy zwycięską bramkę - zauważył Michał Gurgul, podstawowy obrońca drużyny Brzęczka.

- Podczas porannego spaceru powiedziałem Jankowi Faberskiemu, że ma być gotowy do gry, bo na pewno w tym meczu wejdzie na boisko i strzeli bramkę, albo będzie miał asystę - wyjaśniał trener. - Jan to zawodnik nietuzinkowy, mający niesamowite umiejętności techniczne. Ta akcja, to był właśnie cały Jan...

Polacy - z kompletem punktów - plasują się na czele grupy E eliminacji MME. Teraz czeka ich kolejne spotkanie, tym razem z Macedonią Północną.

- Zapewniam, że po takim zwycięstwie nie będziemy mieli problemów z koncentracją na kolejnego rywala - zapewniał Gurgul, na co dzień grający w poznańskim Lechu. - To zwycięstwo doda nam pewności siebie przed kolejnymi meczami.

- Mamy 15 punktów na koncie, ale to jeszcze za mało, by wygrać eliminacje - studiował entuzjazm selekcjoner młodych Polaków. - Po pięciu meczach żadna drużyna nie była już tą wyjątkową...

Po porażce w Szczecinie, trener Włochów - Silvio Baldini nie krył rozczarowania.

- To bolesny wynik, bo szczerze mówiąc, nie sądziłem, że przegramy. Graliśmy dobrze, mając szansę na podwyższenie prowadzenia. Musimy pogodzić się z wynikiem, a chłopaki i tak zagrali dobrze - stwierdził kontrowersyjny szkoleniowiec rywali, który namawia swoich zawodników do trenowania... z opaską na jednym oku, zakazując im jednocześnie korzystania ze „smartfonów”. ©©



Jerzy Brzęczek „zdążył” już w eliminacjach MME zagrać i wygrać pięć meczów, tracąc raptem jedną bramkę...

Piłkarska Rezerwowie dali nam zwycięstwo. ME U-21 coraz bliżej

JEST MODA NA MŁODZIEŻÓWKĘ

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

W meczu eliminacji mistrzostw Europy do lat 21, reprezentacja Polski wygrała z Włochami 2:1 (0:0). To piąte z rzędu zwycięstwo podopiecznych Jerzego Brzęczka w tej fazie rozgrywek.

Polacy, z kompletem punktów, prowadzą w tabeli grupy E. Turniej finałowy odbędzie się w 2027 roku na ośmiu stadionach Albanii i Serbii. W imprezie weźmie udział 16 najlepszych drużyn młodzieżowych na Starym Kontynencie, w tym dwie ekipy gospodarzy.

Prowadzona przez trenera Jerzego Brzęczka reprezentacja Polski U-21 nadal ma komplet zwycięstw w eliminacjach mistrzostw Europy. W meczu rozegranym na stadionie im. Floriana Krygiera w Szczecinie, nasi piłkarze pokonali Włochów 2:1, po celnych trafieniach Wiktora Bogacza (83. minuta) i Macieja Kuziemki (87. minuta).

Prowadzenie dał rywalom piękny gol pomocnika AS Roma - Niccolò Pisilliego (61. minuta).

Reprezentacja U-21 potwierdziła klasę, ale przed meczem z Włochami, pewne obawy jednak były.

Otóż, według znanego portalu o tematyce piłkarskiej „Transfermarkt”, łączna wartość rynkowa naszej kadry to ok. 33 650 000 euro, podczas gdy „Gli



Radość naszych piłkarzy po strzeleniu gola Włochom

Azzurrini” - ok. 101 050 000 euro! A to oznacza, że włoscy piłkarze są średnio około trzykrotnie lepiej wyceniani niż polscy...

Ponadto, przed spotkaniem w Szczecinie, trenera Jerzego Brzęczka dotknęły problemy kadrowe. Kontuzje wyeliminowały kilku podstawowych piłkarzy, m.in. Kacpra Urbańskiego z Legii Warszawa i Marcela Krajewskiego z Widzewa Łódź, którzy w ostatnim meczu ze Szwedami zdobyli po jednej bramce, a także Mateusza Kowalczyka z GKS Katowice.

Jak to zwykle bywa, boisko wszystko zweryfikowało. Zgodnie z zapowiedziami kapitana drużyny - Tomasza Pieńki, nasza młodzieżówka przystąpiła

do gry nastawiona mocno ofensywnie.

Jednak to goście pierwsi oddali celny strzał - zza pola karnego uderzał Francesco Camarda, ale wprost w ręce Marcela Łubika.

W 37. minucie, Polacy powinni objąć prowadzenie, ale strzał Pieńki z linii bramkowej wybił Petro Comuzzo.

W drugiej części goście zaczęli jednak dominować. Efektem dobrej gry piłkarzy trenera Silvio Baldiniego było trafienie Niccolò Pisilliego.

W końcu przyszło otrzeźwienie - ostatnie 10 minut kompletnie zmieniło obraz gry. W głównych rolach wystąpili rezerwowie reprezentacji Polski. Najpierw

Jan Faberski dał pokaz techniki, ośmieszając rywali, a jego rajd przez pół boiska wykończył - strzałem sam na sam - napastnik NY Red Bulls Wiktor Bogacz.

Cztery minuty później Biało-Czerwoni już prowadzili, po dobitce strzału Faberskiego przez Macieja Kuziemkę.

Teraz, naszą młodzieżówkę czeka mecz na Półwyspie Bałkańskim - już jutro, na stadionie im. Petara Milosevskiego w Bitoli, dojdzie do konfrontacji z Macedonią Północną.

Bezpośredni awans do turnieju finałowego ME wywalczy dziewięciu zwycięzców grup oraz najlepsza spośród drużyn z drugich pozycji. Pozostałe osiem zespołów z drugich lokat będzie rywalizować w barażach o cztery miejsca.

Trzy najlepsze zespoły turnieju finałowego będą reprezentować Europę w turnieju olimpijskim w Los Angeles w 2028 roku. ©©

EL. MME 2027, GRUPA E

Pozostałe wyniki: Armenia - Czarnogóra 1:2

(1:1), Macedonia Północna - Szwecja 1:4 (1:2)

| | P | M | B |
|-----------------------|---|----|------|
| 1. POLSKA | 5 | 15 | 17:1 |
| 2. Włochy | 5 | 12 | 13:4 |
| 3. Czarnogóra | 5 | 9 | 8:7 |
| 4. Szwecja | 5 | 6 | 7:13 |
| 5. Macedonia Północna | 5 | 3 | 5:12 |
| 6. Armenia | 5 | 0 | 3:16 |

Następne mecze (wtorek, 18 listopada): Armenia - Szwecja (godz. 12), Macedonia Północna - POLSKA (godz. 17), Czarnogóra - Włochy (godz. 18).

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



JUŻ NIE URZĄDZAMY SIĘ W DUPIE!

Gdyby ktoś na koniec czerwca powiedział, że w listopadzie przeniesiemy się do zupełnie innej piłkarskiej rzeczywistości - nie uwierzyłbym. Przecież tuż po frustrującej porażce z Finlandią, aferze opaskowej i rezygnacji Roberta Lewandowskiego z gry w kadrze ciężki łomot w młodzieżowym Euro dostała nasza kadra U-21. A na domiar złego Adam Majewski, szkoleniowiec Orłąt, przedłużył kontrakt tuż przed tym fatalnym w naszym wykonaniu turniejem...

Dziś po czerwcowym niesmaku nie mają już jednak śladu. Jan Urban posprzątał w ekspresowym tempie po Michale Probiezju w drużynie narodowej,

„Lewy” odzyskał chęć do walki w barwach narodowych i oglądamy w kadrze jego lepszą wersję, natomiast Jerzy Brzęczek błyskawicznie odnalazł się w pracy z młodzieżówką. Słowem, w pierwszym letnim miesiącu nie tylko byliśmy w dupie, ale wszystko wskazywało, że na długo się tam (jak pisał klasyk) urządzimy. Tymczasem w listopadzie mamy podstawy, aby myśleć nie tylko o starcie w mundialu w roku 2026, ale także w igrzyskach olimpijskich dwa lata później. Na szczęście okazało się, że 4-5 miesięcy to w futbolu wieczność.

O tym, że Urbana nie wolno teraz zagłaskać, już pisałem. Selekcjoner ma naprawdę duży potencjał, więc trzeba wyma-

gać. Awansu na mundial i gry w piłkę zgodnej z naszym DNA, ale też ładnej, a pod względem intensywności i powtarzalności nieodstającej od czołowych zespołów świata. Już wiemy, że pod kierunkiem pana Janka stać nas na to. W błyskawicznym tempie obecny selekcjoner przeniósł przecież reprezentację na inny poziom, a najlepiej przemianę widać po meczach z Holandią. O ile w Rotterdamie remis stanowił szczyt marzeń i został wywalczony głównie dzięki fartowi, o tyle na Narodowym fortuna musiała uśmiechnąć się do Pomarańczowych, aby oni wywalczyli punkt.

Brzęczek Jerzy - idol młodzieży! wołano w czasach, kiedy obecny trener kadry U-21 był kapitanem reprezentacji olimpijskiej, która zdobyła srebro w Barcelonie. Od tamtego, niestety ostatniego dotąd, startu polskich piłkarzy na igrzyskach minęły 33 długie lata i po wspomnianych w wstępie finałach MME wydawało się, że licznik będzie - i to bezwarunkowo - bił nadal. Tymczasem dziś śmiało

można zakrzyknąć: Brzęczek Jerzy - najlepszy trener piłkarskiej młodzieży! Świetnie selekcjonuje zawodników, znakomicie dobrał taktykę do posiadanego potencjału, rewelacyjnie zarządza zmianami. Słowem, wyrósł nam Pan Trener.

Jurek niesamowicie dojrzał od poprzedniego angażu w PZPN, to zupełnie inny człowiek i inny fachowiec niż 5 lat temu. Znacznie bardziej zdystansowany i lepiej zorganizowany. Jako selekcjoner nie chciał (mnie) słuchać, że nie może prowadzić kadry z jednym asystentem z licencją UEFA A i drugim w zasadzie bez papierów, bo ledwie rozpoczął kurs UEFA A + B. Teraz nie tylko nauczył się delegować obowiązki na licznych wyedukowanych współpracowników, ale też uporał się z syndromem obelżonej twierdzy. Warsztat i charakter miał zawsze, a poradził sobie z deficytami, które go ograniczały. Dlatego ma wyniki i wszyscy bijemy brawo za styl gry młodzieżówki i jego pracy. Chwilo, trwaj!

Zrobimy wszystko, aby bić się o medale olimpijskie na igrzyskach we Włoszech

Artur Bogacki
redakcja@polskapress.pl

Trener reprezentacji Polski w skokach narciarskich Maciej Maciusiak opowiada o nowym sezonie. 21 listopada ruszy cykl Pucharu Świata, a najważniejszą imprezą będą igrzyska olimpijskie w lutym przyszłego roku.

Ma pan za sobą kilka miesięcy pracy z kadrą skoczków. Jest pan zadowolony z tego, co udało się w tym czasie wypracować z zawodnikami? Oczywiście, że tak. Skończyliśmy przygotowania, przed nami starty, na które wszyscy czekamy. Po to chłopaکی trenują, żeby powalczyć w zawodach. Patrząc na dwa ostatnie zgrupowania, mogę powiedzieć, że jesteśmy dobrze przygotowani, mamy dobrą sprzęt. Na pierwsze konkursy jedziemy z dużą pewnością siebie, z chęcią walki. A jak będzie, to czas pokaże. Żadnych gwarancji nie będziemy dawać.

Patrząc na poprzednie sezony, wyniki były poniżej oczekiwań. Pana pierwszym celem po objęciu stanowiska trenera polskiej kadry było chyba wyciągnięcie z kryzysu tych najbardziej doświadczonych zawodników, żeby znów uwierzyli w swoje możliwości. Można już być dobrej myśli? Zawody to zweryfikują. Robiliśmy wszystko, żeby to się udało. Ja jestem bardzo zadowolony z tego, jak zawodnicy podchodzili do każdego treningu. Dawali z siebie maksimum, a o to chodzi w sezonie przygotowawczym. Jako cała grupa, kadra A, B czy juniorzy, jesteśmy jednym teamem, mamy obrany wspólny cel. Najważniejsze, że nie było kontuzji. A jak dobrze pracowałeś ten okres, to w każdej chwili możesz „odpalić”.

Zapytałem o to także dlatego, że na przykład Kamil Stoch po zawodach Grand Prix wyglądał na zadowolonego ze skoków i pewnego swojej przyszłości, co poprzedniej zimy raczej rzadko mu się zdarzało. Najwyraźniej już nie musi szukać, co jest problemem.

Patrząc na Kamila, Piotra czy Dawida, widać te uśmiechy.



- Aby na igrzyskach walczyć o medale, trzeba dobrze startować też w Pucharze Świata

To są bardzo doświadczeni zawodnicy, trenują od wielu lat, oni wewnętrznie też czują, że wykonali kawał dobrej roboty. Teraz czekają na zawody, żeby się sprawdzić, miejmy nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Trzeba mieć świadomość, że ta gorsza dyspozycja w sezonie też się pojawia, tego nie unikniemy. Takie sytuacje pokazują jednak charakter tej grupy, że w kryzysie szybko potrafimy się pozbyć, wyjść z największych opresji. Tak było w lecie. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, a pierwsze kwalifikacje w Courchevel były katastrofalne, później też konkurs na małej skoczni w Predazzo czy te treningi w Klingenthal. Niemniej z każdych zawodów wyjeżdżaliśmy może nie w pełni zadowoleni, ale usatysfakcjonowani.

Myśli pan, że już od tych pierwszych zawodów, w Lillehammer, nasi skoczkowie będą walczyć o miejsca w czołówce?

Ja bym tego bardzo chciał, stać nas na to. Patrząc na sezon letni, wydaje mi się, że na początku bardzo mocni będą Jan Hoerl czy Ryoyu Kobayashi. Ci dwaj zawodnicy są

tak jakby troszeczkę przed resztą. Niemniej na podium są trzy miejsca, a top 10 to przecież też dobry wynik.

Niezależnie od wyników w Pucharze Świata, najważniejszą imprezą będą igrzyska olimpijskie we Włoszech. Tak, każdy wie, jaki to sezon. To główny cel, ale też zdaje sobie sprawę, że aby walczyć tam o najwyższe laury, o medale, to zawodnicy muszą dobrze startować również w Pucharze Świata. Tak nabywa się tej pewności siebie i te starty także są bardzo ważne.

Poprzedni sezon olimpijski wyglądał tak, że w Pucharze Świata naszym zawodnikom nie szło, a na igrzyskach był sukces. Dawid Kubacki zdobył brąz, Kamil Stoch dwukrotnie był w czołowej szóstce. Teraz może być podobnie, że dzięki doświadczeniu jeszcze bardziej sprężą się na docelową imprezę?

Tak, ale teraz jest inna sytuacja - kwalifikacje na igrzyska olimpijskie zaczęły się, można powiedzieć, półtora roku temu. Najpierw trzeba się tam dostać. Nie mamy tego komfortu, że zabieramy szóstkę, a wystawiamy czwórkę. Cały

czas trzeba walczyć o prawo wyjazdu. Ja też będę patrzył na całość, bardzo chciałbym, żeby pojechali nasi najlepsi zawodnicy, żeby było ich czterech, więcej nie może być.

Po ostatnim zgrupowaniu podał pan skład na pierwsze zawody Pucharu Świata. W kadrze nie ma Macieja Kota. Decyzja była trudna? Myślę, że wybór tej szóstki jest sprawiedliwy, jadą aktualnie najlepsi. Do końca o miejsce rywalizowali Paweł Wąsek i Maciej Kot. Można powiedzieć, że Paweł w ostatniej chwili zdążył z przygotowaniem. Był znacznie lepszy w tych sprawdzianach od Maćka.

Wąsek poprzedniej zimy był naszym najlepszym zawodnikiem. W lecie natomiast był w gorszej dyspozycji. To powinno martwić?

Też mnie to bardzo męczyło. Znaleźliśmy przyczynę, dlaczego tak było. Paweł potrzebował znacznie więcej czasu, aby dostosować się do nowych przepisów, szczególnie do zmian w kombinie. Przez to zawodnicy bardziej agresywni w pierwszej fazie lotu musieli minimalnie zmienić technikę. Wychodzi na to,

że zdążyliśmy i Paweł jest gotowy do rywalizacji, na pierwsze zawody jedzie z pewnością sobą.

Wąsek był liderem naszej kadry. Pokusi się pan o ocenę, kto teraz może nim zostać? Nie chciałbym tego robić. Wolałbym, żeby wszyscy przełożyli ostatnie skoki na zawody, wtedy powinno być dobrze.

Parę lat temu mieliśmy trzech liderów. Bo Kubacki, Stoch czy Żyła zmieniali się w tej roli podczas konkursów... Pewnie, że życzylibym sobie, aby było ich więcej. Jeśli skoki nie wyjdą pięciu zawodnikom, to żeby ten szósty dobrze się zaprezentował. To dałoby duży komfort. Wiemy, że rzeczywistość bywa inna, ale dlaczego nie miałyby tak być?

Zupełnie nową twarzą w pierwszej kadrze jest Kacper Tomasiak. Po udanym lecie jest gotowy do zimowej rywalizacji z najlepszymi na świecie? Puchar Świata to dużo większe wyzwanie.

To faktycznie trochę inna bajka. Kacper prezentuje teraz podobny poziom jak w lecie, choć trzeba pamiętać, że to będzie jego debiut. Wywalczył sobie to miejsce. Jest z innego pokolenia, można powiedzieć, że troszeczkę zamknięty w sobie, ale - mimo młodego wieku - na pewno twardo stąpający po ziemi. Nie musi nic nikomu udowadniać. Jedzie bez presji, nikt od niego nie oczekuje, że od razu będzie wygrywał. Wystarczy, że będzie prezentował to, co w lecie i zdobywał punkty Pucharu Świata. Dla niego już samo to będzie na pewno bardzo ważne.

To nasza nadzieja skoków, ale takich zawodników w poprzednich latach było kilku, choćby Tomasz Pilch czy Kacper Juroszek. Nikt z nowych jednak nie przebił się na stałe do Pucharu Świata. Dokładnie tak. Cały czas podkreślaliśmy, że ta młodzież u nas jest. Przez ostatnie lata praca z juniorami została bardzo dobrze wykonana, dlatego teraz pokazał się Kacper Tomasiak. Jest też Łukasz Łukaszczyk, który wraca po kontuzji, pokazał się Szymon Sarniak. Czy to już wystarczy na Puchar

Świata? Może na tę chwilę jeszcze nie. A Kacper jest dobrym przykładem, że w młodym wieku można zrobić duży postęp i mieć rywalizację z najlepszymi.

Początek Pucharu Świata jest bardzo intensywny, w dziesięć dni będzie aż siedem konkursów (sześć indywidualnych i mikst - przyp. red.). To dla was dobrze czy źle?

To taka nowość, nie mamy na to wpływu. Może lepiej, że dzieje się to na początku, gdy tych sił jest zdecydowanie więcej. Organizacyjnie i logistycznie nie jest to dla wszystkich wyzwaniem, dla nas, związku, FIS-u. Do Lillehammer sami ogarniamy bilety, potem do Falun będzie transport autobusami organizatora. A że Szwejcji do Ruki jest czarter zapewniony przez FIS. Taki plan podróży był już organizowany w lecie. Na koniec w poniedziałek (1 grudnia - przyp. red.) wracamy na własną rękę do Polski, na konkursy w Wiśle.

Wychodzi na to, że sezon zaczniecie w stylu Raw Air...

Można tak powiedzieć. Albo jak Turniej Czterech Skoczni, bo w Falun będą dwa obiekty (mała i duża skocznia - przyp. red.).

Po zmianach w regulaminach nasza reprezentacja jest sprzętowo przygotowana na podobnym poziomie jak inne ekipy? Nie będziemy odstawać? Jakies porównanie z latem pan ma?

Lato to lato, sezon przygotowawczy. Na pewno będzie to duże wyzwanie dla kontrolerów. Zmiany, który nastąpiły, poszły w bardzo dobrym kierunku. Nie można popuścić na żadnym etapie, bo może się to rozjechać. Wszyscy mają tego świadomość. Będziemy obserwować sytuację, na pewno będziemy zachowywać się fair. Zamierzamy trzymać się przepisów, nie będziemy ich naginać.

Na koniec „najtrudniejsze” pytanie: jakie wyniki nasi skoczkowie osiągną na igrzyskach?

(Śmiech) Tego chyba nikt nie wie. Będziemy robić wszystko, żeby bić się o medale. Celem jest przywieźć z igrzysk olimpijskich choć jeden.

MAGAZYN

SPORTOWY24

Jakub Kamiński po przepięknym kontrataku z Robertem Lewandowskim przypieczętował udział Biało-Czerwonych w barażach o mundial STR. 20



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Wielki wygrany kadencji Urbana

BRZĘCZEK JERZY TO NAJLEPSZY OD DAWNA TRENER NASZEJ MŁODZIEŻY STR. 22

Cała Malta w euforii po zwycięstwie nad Finlandią. A teraz czas na... Polskę STR. 21

Wywiad tygodnia z trenerem kadry skoczków Maciejem Maciusiakiem STR. 23